

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 7 grudnia 1952 r.

Nr 49 (383)

JULIAN STAWIŃSKI

NA STRAŻY POKOJU ŚWIATA

DRUGA wojna światowa miała „przywrocić” wiarę w podstawowe prawa człowieka, w dostojność i wartość jego osoby, w równoprawność mężczyzn i kobiet oraz w równość praw wielkich i małych narodów”. Tak głosi Karta ONZ. Nie mogło być inaczej, gdyż w 25 rocznicę Października rozległy się z Kremla na świat cały słowa Stalina zakreślającego program celów koalicji anglo-radziecko-amerykańskiej: „Zniesienie dyskryminacji rasowej; równoprawienie narodów i nietykalność ich terytoriów; wyzwolenie narodów ujarzmionych i przywrócenie im praw suwerenności; prawo każdego narodu do urządzenia się według swego życzenia; pomoc gospodarcza dla narodów poszkodowanych i poparcie ich w dziele osiągnięcia dobrobytu materialnego; przywrócenie swobód demokratycznych; unicestwienie reżimu hitlerowskiego”.

Nie mogło być inaczej, gdy wszystkie narody wielkiej koalicji walczyły z wiarą w ten program. Gdy zwycięstwo radzieckiego żołnierza nad hitlerowskim i japońskim fascyzmem oraz walka rewolucyjna ludów zapewniły spełnienie tych idei na wielkich przestrzeniach Europy i Azji. Dlatego godność ludzka, wolność i równość ludzi i narodów zostały wpisane w kodeks praw ONZ. Lecz na wciąż jeszcze ogromnych, choć tak bardzo skurczonych obszarach, którymi rządzą monopol, tam piękne słowa pozostały martwą literą. Albowiem kapitalizm nie walczył o wyzwolenie krajów uciśnionych, walczył o nowy podział rynków, o zmianę warty ciemniejszych Ziemi, którą chce pokonać zartoczone centrum wyzysku i tam, gdzie kapitalizm panuje, niktą mniejszość deprecjować podstawowe prawa człowieka, pomijać jego godność, odmawiać uznania praw małych narodów, wśród wielkich zaś stosuje w całej pełni zasadę podziału łupów według klucza przemocy. Karta ONZ gra tam rolę afiszu rekrutacyjnego, a szlachetne hasła wolności i dumna nazwa „świata wolnego” stały się, mówiąc słowami pisarza Zachodu, „największym kłamstwem dziejów”. We Francji i Włoszech, w Anglii i Niemczech Zachodnich, ze starych swobód demokratycznych burżuazji pozostały dziś tylko zbudowane strzepy. A w koloniach i krajach zależnych trwa odwieczna niewola. Odwieczna, ale nie wiecznotrwała.

Kapitalizm nie jest już nawet Midasem. Nie w złoto, ale w trupią miazgę zapiekłej krwi i popiołów przemienia wszystko czego się dotknie. Więc nie z łona kapitalizmu narodzić się mogła i spłynęła na świat wiara w podstawowe prawa człowieka. Przyszła z kraju, gdzie wzniósł się okrzyk: „Człowiek — to brzmie dumnie!” Wielka koalicja rozpadła się z winy USA, które od początku sabotowały wykonanie jej programu. Lecz hasła stalino-wskie podjęły od pierwszej chwili i walczą o nie coraz powściągliwiej coraz liczniejsze ludy Ziemi. Wojna otworzyła wrota na świat socjalizmowi, jedynie a zarazem niezmierzzonej światła nadziei. Plomien Października zajął dla wszystkich i mobilizuje do walki o jutro i walki o dziś narody pięciu kontynentów.

„Nigdy tak wielki naród jak nasz nie będzie narodem niewolników — głosiła odezwa KP Francji, wydana w mroczne dni okupacji i podpisana przez Thoreza i Duclos — Francja, której przeszłość jest tak pełna chwali, nie zgnie kolana przed bandą sztalów zdolnych do wszystkiego. Nie pobici generałowie, nie aferzyści, czy zawodowi politycy, mogą podziwiać Francję. Największe nadzieje wyzwolenia narodowego i społecznego tkwią w ludzie. I właśnie wokół klasy robotniczej, plomiennej i szlachetnej, pełnej ufności i odwagi, powstaje może front wolności, niepodległości i odrodzenia Francji”.

Hasła te nie straciły aktualności. Przeciwnie — stały się myślą przewodnią gnębionych i uciskanych. Tylko osoba okupanta uległa zmianie. Idea wywyższenia się z dna podobnej niewoli, zerwania pęt własnej i obcej reakcji, podniesienia sprofanowanych sztandarów, przywrócenia narodom niepodległości, suwerenności, swobód demokratycznych — bierze wzór z „brygad szturmowych” socjalizmu, czepnie natężenie z gorących pochodni wolności słowa Józefa Stalina. Słowa, które są dzisiaj wyznaniem wiary szerokiej mas ludu całej Europy Zachodniej, całej Azji, Afryki i Ochu Ameryki.

A faszystawscy władcy Stanów Zjednoczonych szukają za wszelką cenę dłoni, by w ich imieniu podjąć stów zbrodni. Ale budują na

piaskach ruchomych, pokładając swe wszystkie nadzieje w pobitych generałach Hitlera. Gdyż dla żadnego narodu na świecie imię Hitlera nie będzie już nigdy standardem, ani imię Franco, ani Czang Kai-sze. Ani oprawców potowy kuli ziemskiej — Trumana, Eisenhowera, Ridgwaya, Mac Arthura. Nawet ogłuszony przez grzmiającą propagandę karłowatych Cesarów, oszukany i odcinany przez nich od reszty świata naród amerykański nie da się dziesiątkować dla dobra czterdziestu koncernów w haniebnej walce z wolnością ludów. I jeśli gdziekolwiek człowiek umierając wymienia te imiona — czyni to aby je przekląć.

Przed laty dokładnie dwudziestu Liga Narodów zwróciła się do Alberta Einsteina o zorganizowanie wypowiedzi uczonych w sprawie środków zapobieżenia wojnie. Wielki fizyk mówił wówczas z oburzeniem o znikomej liczbie kłec, która z pomocą szkoły, kościoła i prasy łamie wolę obywateli i większość upędzając ją do wojny, której ludzkość nie chce. Dziś władcy świata kapitalistycznego zwracają się do uczonych tylko po to, by dostarczali im coraz bardziej skutecznych narzędzi śmierci. Czarna chorągiew moru powiewa nad stolicami zaborców, jako jedyną ich standard i godło. „Na próżno szukam w waszym ręku gałgarek oliwnych — woła pod ich adresem blisko ich obozu jeszcze niedawno stojący, pisarz Jean - Paul Sartre — znajduję tylko bomby!”

„Postaw zębów smoka wschodzi obficie i bujnie!” — stwierdza prasa brytyjska, słuchając gwałtownych wypadów generała SS Ramcke przeciw aliantom zachodnim. I otwarcie przyznaje, że jest to skutek traktowania uchwał Jaltę i Poczdamu jako nowego Wersalu, jako dyktatu amerykańskiego narzuconego Niemcom z pomocą Churchill i Edena, a przede wszystkim — Bevina i Attlee.

W New Yorku, w nowej, wspólniejszej siedzibie ONZ, młody urzędnik tej instytucji, Orvel Johnson, wykrzykiwał w przystępny sposób, że „został powołany przez Boga w miejsce Trygve Lie”. Odwieziono go do szpitala. Nie jest to zwykły przypadek kliniczny. Jak nie jest zwykłym przypadkiem skok z dwunastego piętra głównego doradcy prawnego i politycznego Trygve Lie, Follera, zaszczonego przez FBI, któremu jeszcze za mało się wystygowało.

„Przeżywamy najcięższe dni ONZ od chwili założenia” — oświadczył imieniem Sekretariatu Ralph Bunche, laureat Nobla i mediator palestyński. — „Jeśli ONZ nie rozwiąże sprawy Korei, nie przywróci pokoju, kryzys może łatwo przekształcić się w katastrofę” — woła zgodny chór nowojorskich gazet. Czyżby oprzytomnienie, rzeczowość, troska o losy wspólnoty międzynarodowej? Nie. To szantaż podszyty lekkiem, jaki budzi wyłanianie się coraz ostrzejszych sprzeczności kapitalistycznych.

ONZ istotnie przechodzi kryzys. Przechodzi go wskutek dążeń, by uczynić organizację narodów — narzedziem polityki wielkich monopol, bronią, czy raczej stampłą w ręku klki rządzącej jednym państwem. Ciąło polityczne, w którym zasiadają przedstawiciele krajów kapitalistycznych, siłą rzeczy odczuwa działanie szarpających nimi sprzeczności. Sprzeczności rosną w miarę kurczenia się orbity kapitalizmu, zapadania się stabilizacji rynków, opadania tempa wzrostu do znikomych wymiarów.

Co więcej — daleko na widnokręgu ukazuje się widmo ostatecznej przegranej kampanii koreańskiej. W poszukiwaniu alibi wydobytoby memoriał sztabowy sprzed pięciu lat, ułożony z udziałem Eisenhowera, a wywodzący rzekomo, jakoby atak na Koreę był zbędny z punktu widzenia strategii USA. „Korea stała się dla nas strategiczną pułapką, z której nie wydobędziemy się ani łatwo, ani za niską cenę” — woła herold imperializmu amerykańskiego, Walter Lippmann, z myślą o przekreśleniu przedwyborczych obietnic przyszłego prezydenta.

Korea stała się przede wszystkim grobem honoru armii USA, grobem jej dobrego imienia. A wnikł deput nad East River w New Yorku zdecydował o dobrej sławie ONZ.

ONZ miała być wyrazem pragnień i dążeń narodów świata. Chyrycona w pacht stała się już w progu swego istnienia wyrazem zewnętrznych uciążliwych zamiarów klki rządzących, podporządkowanych wielkiej centrali monopolistycznej Wall Street. Lecz woli zbiorowej narodu

(dokonczenie na str. 2)

WANDA KARCZEWSKA

Ballada o synkach ślusarskich

I
Nocą się nieraz zrywam,
w mroku otwieram oczy
i słyszę jak mnie wzywa
ze zmarłych ten najmłodszy.

O, siostró moja dobra,
posłuchaj głosu brata,
znow mi się śni ten obraz:
nabrzeże i fregata.

O, siostró, już nie zwlekaj,
zapytaj gdyńskich panów:
syn prostego człowieka
może być kapitanem?

II
O, chłopaczki, śpiewające kantylenki święcone,
wy, ptaszki srebrnostrune i złotousty,
oczka przy organowych piszczałkach wpatrzone
w aniołków zadcęki tłuste.
Z wami na Alleluja i na święta wszystkie
śpiewał i on, nisko jak bąk na łące,
a miękko, jakby złota leciała wałka.
Plakał z zachwytu ksiądz i w gorące
trzęsły się na ołtarzach drewniane listki,
zapominała o modlitwie przeczka.

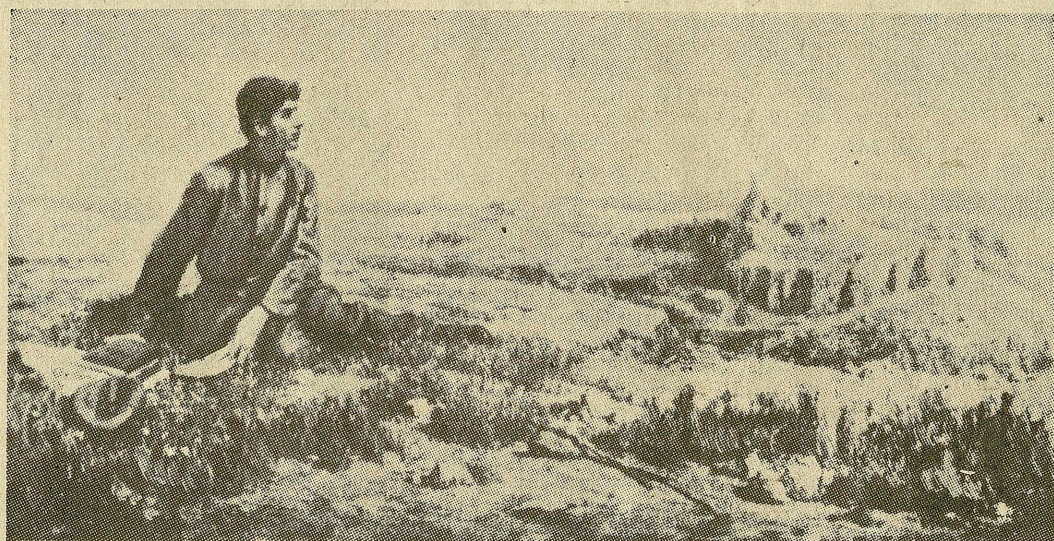
W dzionek zwyczajny twój, śpiewaku boży,
młot huczał w sadzie nad ojcową kuźnią,
w święta po refektarzach żal w sutannach krążył:
gdyby tak szkoła, Włochy, maestro śpiewu...
Za późno.

Do Mediolanu ci, mój zmarły bracie,
było tak jak Turkowi do Rzymu.
Ach czemuż, czemuż ci twój prałaci
o złotych jabłkach mówili zima?

III
Noc była ciężka. Stłoczeni w izdebce
spaliliśmy razem, gdy ktoś westchnął: ach...
To ty, wiedziałam, przez sen znowu szepcesz,
znowu nawiedzał cię Szopen i Bach.

JÓZEF OZGA-MICHAŁSKI

GDZIE CZŁOWIEK SIEJE POKÓJ...



Stalin w latach młodości

Mal. W. P. Mosesow

LETNI ciepły wieczór objął miasto, ogrody i ulice, które wybiegają w szerokie urodzajne pola. Jakże byłoby przyjemnie, gdyby i gwiazdy rozjaśniły ciemne niebo. Niestety, deszcz zaczyna po szybach i wiaterek po nich podzwania melodyjny. Młode, zielone liście akacji, debów i jesionów piją wilgoć, którą przepojona jest ziemia i powietrze.

Siedzą na ławach roztawionych wokół stołów i prowadzący wolną, szeroką rozmowę z mieszkańcami Ziarnogrodu. Są to ludzie, którzy założyli nowe miasto. Żaden z nich tutaj się nie urodził, tacy dopiero są prawdziwymi „ojcami” miasta. Ludzie, którzy stworzyli „świat” nieistniejący dotąd na mapie. Można powiedzieć, ludzie ci, to drożdże zanurzone w kadzi stępowego czarnoziemu, który pod ich działaniem zajął się w chleb.

A właśnie do naszej wielkiej izby, wypełnionej pieśnią i gwarem wchodzi młoda koczarka. Idzie prosto jak trzcina, niesie biały kołacz w koszu ozdobionym wstążkami. Tu, gdzie siedzą teraz przy stołach, dwadzieścia lat temu leżeli być może pasterze przy zapalonym ognisku. Ogryzali kości baranie i pili zrodlaną wodę z worków skórzanych.

Wiatr kołysał morze zielonych traw niosąc wysoko nad stępem swoją nieujarzmioną grzywę. I tej dziewczyny nie było, ani elektryczności, która rozjaśniła izbę, ani białego kołacza. Była tylko tęsknota ludzi, aby step ożył, aby bielejąca w stepie kość pasterza lub zagubiony młody wędrowca, kość wojaka w kurhanie przyoblekła ludzki kształt, i aby człowiek mógł w tych stronach żyć szczęśliwie aby był mocny i piękny.

I tak się stało. Z rozporządzenia Komunistycznej Partii Bolszewików ruszono na podobny przyrady. Stępowa trawa wycięto w pleń i mieszała traktorów. Ziekłowało szlachetne ziarno pszenicy, zbudowano wesołe domy z

O, siostró moja niechże
wyświadcą mi te łaskę,
ja ręce mam mocniejsze,
niż wszystkie synki pańskie.

I oczy mam jak sokół
i bystrą myśl, obrotną,
wypatrzę światła w mroku
i poznam w lot widnokrąg.

Ja każda prawie nocą
w świat płynę pokrywom,
pomóż mi moja siostró,
za ciasto mi już w Jemu.

Bracie mój zmarły, porwany Mozartem,
nieraz widziałam w oczach twoich ból.
Z pilnikiem w ręce zasluchany w kwartet,
coś ty ślusarski synku wtedy czuł?

Jakiż to gniew cię, przeciw komu młotał,
kogo oskarżać miały twoje łzy,
kiedyś beznadziejnie ręce ze rdzy otarł,
szepcząc: ja nie, lecz... może mój syn.

IV
A matka płacze: co wam też w głowie,
wyście prości, ślusarscy synkowie.

Wyście prosta robocza hołota —
stary 'apeć, od smarów tłusta kapota,

wam feldszmida, młotek i śrubaształ,
a nie jakieś pańskie uczone głupstwa.

Cicho, ja bym z wami płynęła do zatok
i z Szopenem, ale synkowie, skąd na to?

Zdrowaś matko biedna ślusarzowa,
prowadź ty swoich synków, prowadź

Chwyć ich mocno za piórka lotek,
bo ci rzuca pod nogi i pilnik i młotek.

Bo ci chodzą z okiem otwartym na jawie,
śnią w dzień jasny o innej, nieślusarskiej sprawie.

V
Dziś — słyszę płynię drgający potok Szopenowego mazurka,
to nuty sieje po klawiaturze chłopskiego najmity córka.

Idzie „Mazowsze” po świecie z pieśnią polską w sławie,
nie ty ją niesiesz mój biedny bracie Mieczysławie.

Dłoń kapitańską na sterze syn górnik położył,
lecz tyś Józefie mój i Tadeuszu — nie dożył.

Z „NOTATNIKA RADZIECKIEGO”

przewadam leśne pasy ochronne. Widzieliście sami, że las przerósł mnie już dwukrotnie. Kiedyś w niedzielę, czytając Puszkina w naszym młodym gaju zapamiętałam jego słowa skierowane do waszego wielkiego poety, Mickiewicza. Pozwólcie, że je przytoczę:

... — Był tu śród nas,
...cichy dobrułtacy.
Był uczestnikiem biadań naszych. Z nów
dzieliliśmy się marzeniem czystym
i pieśnią. Często mówił
o przyszłych czasach, gdy narody
zapomną waśni — i w rodzinę wielką
połączą się. Stuchaliśmy poety
z zapartym tchem.”

Lidia szybko uśladła, zaploniona i do głębi wzruszona swoją mową zakończoną cytacją z Puszkina. Każdy z nas czuł się teraz w tej gościnnej izbie jak w swoim domu.

Lidia Grigoriewna pionie rumieńcem nieśmiałości, a któraś z naszych kobiet nachyliła się ku niej i odpowiada jej może o konopiach i lnie, a może o Mickiewiczu.

Zbliżamy się do Szulgina, który zrazu szepetem mówi coś o sobie w ciasnym kregu chłopów.

— „Jest noc towarzysze, choć oko wykol, nie widać nic... ale ja wiem, że u moich stóp szumi cicho Wisła, a na drugim wysokim brzegu pod niebem wieża katedry sandomierskiej... tak... wieże tego kościoła widziałam ze dnia. Mosty wysadzone w powietrze... na Baranowie budowali nasi przeprawę w ciągu dnia... ale tu, w tym miejscu trzeba było przepławić się wpraw... zanurzyliśmy się w wiślane fale... granał w zębach, plyniliśmy bystro na drugi brzeg... już blisko, naraz jakby płasnął kijanką o wodę rozlega się salwa... raz i drugi, ogłuszyło mnie...”

Tu Szulgin pomaga się za uchem, a my ujrzelśmy w tym miejscu długą szramę po kuli.

Na drugi dzień padł Sandomierz, nasi szli do ataku, a ja do szpitala... Szulgin ocierał pot z czoła, tak jak czynił to w polu, gdy pokazywał nam wyhodowaną przez siebie pszenicę, która na podobieństwo ludzi nie boi się burz i nie pokłada się choćby od najsilniejszego wiatru.

Szulgin nie tylko sam nie kłaniał się kulom, lecz stworzył taki gatunek zboża, który nie kłania się wiatrom.

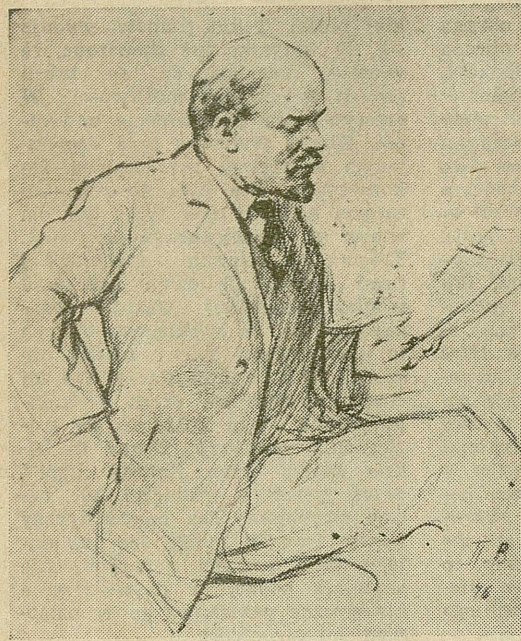
Sandomierzanin Maćkowski patrzył w Szulgina bystrym okiem. Nic nie mówił. Trudno dobrać w takiej chwili słowo. Część życia żołnierza Szulgina popłynęła Wisłą, a właściwie on cały rzucając się do wody w tę noc, rzucał siebie na kartę. Zna wieże katedry biskupiej, Sandomierzu, która ocalała od bomb i pożaru dzięki odwadze żołnierza.

Maćkowski jeździ na jarmark do miasta, łowi ryby w Wiśle i poi w niej łonie. A o siedzi przed nim na ławie. Szulgin żywy i zdrowy, ten sam, który Wisłę forsował i ten, który sieje pszenicę nie lekając się burz.

Chłop schylił głowę i długo wpatrywał się w twarz tego żołnierza, wojownika dziś w stepie. Józef Ozga-Michałski

KONSTANTY FIEDIN

SZKIC DO PORTRETU



mal. P. Wasiliew

Z BILETEM wejścia w kieszeni Szumilin śpieszył na otwarcie Kongresu. Gdy przyszedł, sala Pałacu Uryckiego była już przepelniona. Było duszno, ludzie zdejmowali marynarki, wachlowali się gazetami i chusteczkami, które migotały w oczach jak niezlazłe jasne plamy; panowało powszechne napięcie.

Szumilin znalazł miejsce w łóżu dziennikarskiej, na wprost trybuny. Stąd dobrze było widać ławy prezydium. Otworzył blok i przystąpił do rysowania.

Wtem na galerii zawrzało i lawina oklasków pochłonęła wszystko swym gromem. Szumilin stanął, wpatrzony w stronę prezydium. Tam jednak nikt się nie zjawiał. Spojrzał na salę i — blok wypadł mu z rąk wzniesionych nagle do oklasków.

Wprost na niego, przez całą salę, na czele różnoplemiennego tłumu delegatów, szedł Lenin. Szedł szybko, z głową pochyloną, jakby rozcinając przed sobą powietrze i usiłując co rychlej zejść z widoku i przerwać oklaski. Dotarł do miejsca prezydium i aż do końca owacji nie było go widać.

Równocześnie z wejściem Lenina rozstworzyły się wszystkie drzwi sali i wniesiono ogromne kosze czerwonych goździków. Kwiaty znalazły się w każdym ręku i długie szeregi ławek wiodły niemiłą rozmowę kolorów z purpurą sztandarów i dekoracji. Rozglądając się po sali Szumilin zobaczył w pobliżu dwóch starszych malarzy, którzy jeszcze niedawno byli jego nauczycielami. Usiedli już, gdy on wciąż jeszcze stał. Co prędzej podniósł blok i sięgnął po ołówek.

Lenin po powrocie do stołu prezydium zniknął na chwilę, a potem znów się ukazał i Szumilin widział jak wyjmując z kieszeni papiery i siada na stopniu obok przejsia. Stało się to nagle, odruchowo, w sposób niezmiernie prosty i trudno było sobie wymarzyć lepszą pozę. Szumilin wyczuł, że obok niego malarze już rysują. Ścisnął w palcach ołówek, ale nie mógł oderwać wzroku od Lenina.

Tak świetnie widać było jego głowę — wielką, niezwykłą, w mgnieniu oka wibującą się w pamięć. Lenin rozłożył papiery na kolanach i, czytając pochylony nisko nad nimi. Potężny zarys czoła, skroni, linia karku z kosmykami jasnych włosów dotykających kołnierza — tak wyraźnie uwidocznił charakter jego oblicza. Malarz chciał go porównać z jakakolwiek znaną sobie postacią historii czy współczesności, ale Lenin do nikogo nie był podobny. Każdy rys był wyjątkową jego własnością.

Wreszcie Szumilin dotknął papieru ołówkiem. Jednym miękkiem, ale stanowczym pociągnięciem nakreślił zarys leninowskiej głowy i podniósł oczy. Lenina już nie było.

*

Szumilin zobaczył go ponownie, gdy Lenin wszedł na trybunę dla wygłoszenia referatu.

Powitała go niemilkąca, entuzjastyczna owacja. Musiał wytrzymać ją do końca. Długo porządkował papiery. Potem wysoko podniósł rękę i potrząsnął nią, aby uspokoić rozszalałą salę. Surowo i z wyrzutem spoglądał na wszystkie strony — sam jeden pośród huczącej wrzawy. Nagle wyjął zegarek i pokazał go audytorium gniewnie stukając palcem w cyferblat — nie nie pomogło. Wtedy raz jeszcze jał przegłądać nerwowo i segregować papiery, aż wreszcie owacja, jakby sama się wyczerpała, przeszła w skupioną ciszę.

Lenin zaczął mówić.

Szumilin zobaczył go w ruchu przekazującym myśl. To właśnie pragnął malarz ukazać na rysunku. Ale rysy Lenina, kilka minut temu uchwycone zupełnie dokładnie, jakby zatraciły się w leninowskiej mowie, przeobraziły w coraz to nowe, nieprzerwanie następujące po sobie. Malarz utrzymywał je kolejno w pamięci, lecz zaledwie się wynurzyły, — zniknęły bezpowrotnie; i Szumilina ogarniał lęk, że je

straci. Nie mógł się zdecydować na rozpoczęcie rysunku i nie umiałby już powiedzieć — czy studiując gestykulację Lenina, czy słucha jego mowy.

Wstrząsnęło nim absolutne zespolecie gestu Lenina ze słowem. Treść mowy interpretowała plastycznie całe ciało. Miało się wrażenie, że roztopiony metal przepływa przez podatną formę, tak ściśle ruchy zewnętrzne towarzyszyły słowu, tak burzliwy był tok nadawania mowie rozpromieniającego sensu.

Lenin często sięgał do notatek i mnóstwo wymieniał liczb, ale ani na chwilę nie stawał się przez to suchym profesorem, cały czas był ujarzmiającym trybunem. Wyniosły głos był nieumęczony, język aż dotykalnie prosty, wymowa łagodna, niekiedy zmniejszał głos, co nadawało jego słowu człowieczeństwo, czyniło mowę bliską słuchaczowi.

Z uczuciem, że nie opuszcza jak gdyby ani jednego dźwięku z mowy, Szumilin zaczął rysować. Rzucał na papier zarys lekko wniesionej głowy Lenina, wyciągnięte ręce, prostą i mocną, wypiętą linię pleców, wypukłą, podaną naprzód pierś. Odrzucał jeden szkic i zaczynał drugi: naprzemian nie wychodziła mu twarz, albo ręce, czy tors. Powtarzał to co udane, mizolił się nad nieudanym, przekładał arkusz za arkuszem aż wreszcie spostrzegł z przerażeniem, że wcale nie przybliżył się do zamierzonego sobie celu.

Szumilin teraz stał. I stojąc zobaczył nagle całego Lenina, wyprostowanego i w owej pełni, jakiej nie ogarnia oko rozkładające na części doskonałą jedność natury. Szumilin sięgnął po nowy arkusz. I wtedy znalazł wyraz dla wszystkich prób wstępnych, wszystkich niepewnych studiów. Szkice, robione jak gdyby po omacku, na ślepo, gesty, ruchy głowy, rysy twarzy, uzupełniały się nawzajem, łączyły i przekształcały stopniowo w harmonijny rysunek, w bliski prawdy obraz — w żywego Lenina. Nie odrywając się już od arkusza, malarz rysował szybko i bez wysiłku.

Oguszający zgiełk rozległ się na salę. Szumilin wniósł oczy. Jedynym ruchem zgarnawszy papiery Lenin schodził lekko z trybuny. Szumilin zatrzaskał blok.

STANISŁAW ZIELIŃSKI



Portret Józefa Sosnowskiego — przedwnika P.G.R. Mal. B. Brykner

JASKÓŁKA zdjął szklę i gołym okiem raz jeszcze obejrzał list. Potem wygładził starannie papier i włożył go do koperty.

— Wyowiada się gładko i pismo ma równe. Nie przynosi ujmy nauczycielowi i nie trza go z powrotem do klas posyłać. Co z tą doktorką, tego nie napisał jasno? Zrozumieć trudno, kto i za co dostanie po łbie i od kogo? Zawiozę list Tulikom. Ucieszą się z wiadomości, że nie chowali partyzanta na darmo. Wyrosł na sierżanta! Oj, sypana derma szarżami... Nie to, co za mojej wojny.

List nakłonił Jaskółkę do wcześniejszego wyjazdu. Wprost z gajówki miał jechać do Bradczy. Myślał o zebraniu niechętnie kręcąc głowę. Nie dobrego nie przywiózł z Krakowa. Tyle zyskał, że wydał pieniądze na drogę. Całą sprawę mógł wyjaśnić bez jednego słowa. Wystarczyło pokazać towarzyszym puste donio! A jeżdżił wołać o pieniądze!

Szło o to, że od trzech miesięcy ludzie w Pysowach nie dostali grosza. W Krakowie odpowiedziano: — Państwo nie ma pieniędzy. Musicie czekać, bo z czego wam damy? Nie ma!

Nie tylko zaległe wypłaty, ale i cała gospodarka budziła rozgoryczenie. Z samego początku, jak PNZ objęło Pysowy, postanowiono: że majątek dawac będzie elitarnie ziarno. Choć było dość koni, przysłano traktory. Nie można powiedzieć, zapowiadało się dobrze. Zaczęło się od pszenicy. Przywieziono ją po siewach i wszyscy myśleli, że to ordynaria, więc rozdzielono bez żadnych skrupułów. Ledwie awantura przycicha, nadeszło pismo rozkazujące kartofle sadzeniaki odstawić do Bradczy.

*

Lenin szedł na czele delegatów Kongresu. Obok niego wciąż zmieniali się ludzie — cudzoziemcy, Rosjanie, starzy i młodzi. Kończył mówić z jednym, zaczynał z następnym.

Szedł bez płaszcza, w rozpiętej marynarce, z ręką w kieszeni, czy naprzemian założoną do tyłu. Zdawało się, że jest nie na ulicy, pośród ciężkich, olbrzymich gmachów, ale w domu, w swoim pokoju. Nie widział nic niezwykłego w otaczającym go tłumie i czuł się swobodnie i nieskrępowanie w obliczu powszechnego ciężaru ku niemu ludzi.

Szumilin, idący w pobliżu, spostrzegł nagle jednego z poznanych przez siebie delegatów, który przeciskał się przez zwarte szeregi ludzkie i, wypatrzwszy chwilę, zwrócił się z Leninem. Przedstawił się z namaszczeniem, uścił Leninowi rękę i przystąpił do wygłoszenia najwyraźniej zawczasu ułożonej tyrawy.

Lenin przechylił głowę na bok, aby lepiej słyszeć rozmówcę. Ten mówił gestykulując z powagą, ceniąc niewątpliwie swe słowa i obawiając się cokolwiek uronić. Początkowo Lenin był poważny. Potem zaczął się uśmiechać, przy-mrużył oczy, szarpnął nerwowo głowę. Wreszcie odsunął się, machnawszy gwałtownie ręką z wyrazem, który miał być: a kysz! Delegat, gestykulując, dalej coś przekładał. Lenin ujął go za łokieć i wyrzekł parę zdań — krótkich i najwidoczniej ostatecznie nieodwołalnych. Delegat oponował zaciekłe. Wówczas Lenin nagle uderzył go lekko po ramieniu, zatknął palce za kamizelkę i zaczął się śmiać do rozpuku, przyspieszając równocześnie kroku i już nie oglądając się na człowieka, który go tak rozśmieszył.

*

Szumilin uczył ciepłe dotknięcie ręki. Dawny nauczyciel, malarz, który z nim razem rysował w łóży, mówił półgłosem, wnikliwie i w skupieniu:

— Wiecie? Nie wychodzi mi rysunek Lenina. A wam?

— Mnie także nie — odpowiedział Szumilin. A potem, przy-ciskając nagle do siebie przyjazną dłoń, dokończył z żarem:

— Ale daję wam słowo, daję słowo honoru, że wyjdzie mi na pewno!

Konstanty Fiedin

Fragment opowiadania. Tłumaczył Julian Stawiński



L. Maciąg — Gwardia Ludowa w akcji

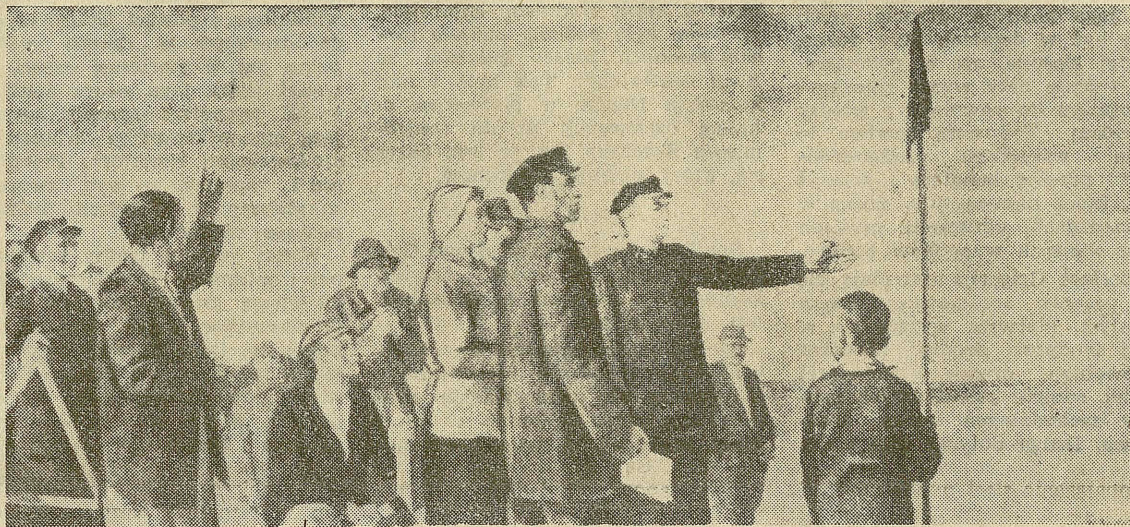
W 10 rocznicę śmierci Marceliego Nowotki

Przed dziesięcioma laty został zamordowany Marceli Nowotka.

Pierwszy sekretarz Polskiej Partii Robotniczej, płomienny bojownik o sprawę wyzwolenia ludu pracującego, zginął od kuli skrytobójczej „dwójki”, sprzymierzającej się z Gestapo w swej walce przeciw najbardziej przodującym przedstawicielom narodu polskiego. Marceli Nowotka przez lat przeszło trzydzieści, jako działacz SDKP i L, KPP i PPR, prowadził w pierwszych szeregach polskiego ruchu robotniczego nieugięty bój z przemocą i zdradą burżuazji, oddając wszystkie swe czyny i myśli walce o triumf



Marceli Nowotka Rys. T. Kultsiewicz



J. Krajewski — Reforma Roina

K t o w i n i e n ?

sacz wesoly, to już domyślić się łatwo...

Nie tylko w Kusaczu, ale i w Kalinkach podniósł się głos niechętny i przenosił wrogosć na całkiem inne sprawy.

Koła grzęzły w roznieklej drodze; lepkie błoto chwytalo jak smoła, wóz ledwie posuwał się naprzód. Z pysowskiej szkoły wychodziły dzieci. Jaskółka odszukał wzrokiem Olka Rosika i przywołał do siebie.

— Olek, jak to było z drzewem? Ciałeś?

— A skąd, panie Jaskółko! — No, z lasu. Ciałeś? Przecież widzieliście?

— Lesny ma złość do matki, to gada. Anim ruszył.

Jaskółka chmynął na konia i pojechał pod chatę Rosikowej. Gospodarowała z córką na trzech hektarach. Posadzenie rzucił lesny Klimkę. Oskarżył Olka o ścięcie dziesięciu drzew na 36 sztytów grubości, co przeliczone na pieniądze, wyniosło kwotę 108 złotych. Klimkę przy-cisnęty do muru, powołał się na świadka, którym okazał się jego teść Bryś. Wiedzieli wszyscy, że Bryś ko ty darta z Rosikiem, a po jego śmierci złość przełał na wdowę. No, Bryś też wojaował, ale przed wyborami za peessem. Zapytany wprost, powiędział wykrztusił, że wiedzieć nie widział, ale słyszał. Sprawa w Gminnej Radzie Narodowej toczyła się pod nieobecność Jaskółki. Buraki i owce przechyliły szale. Dano wiarę Klimkowi, a Rosikowej kazano płacić, jak ma syna zdieja.

Kobieta podeszła do wozu. Ładna była jeszcze i trzymała się prosto. Jaskółka zagadnął o tym i owym, wreszcie spytał o karę.

— Nie zapłaciłam i nie zapłacę, bo zełgane od początku do końca. Muszę kupić metr żyta, a nie wyrzucać pieniędzy. Tyle zobacz tych pieniędzy! Wiecie? A no!

— A z Rada jak będzie? — Jaskółka uśmiechnął się na widok dosadnego gestu. — Przecież uchwalili karę.

— A tak. Partyjni mówili że mna, ale nie przemogli reszty. Zostało przy karze. Na koniec tak mi powiedział Bryś: „Jeśli nawet wasza krzywda i Olek nie złodziej, to Pan Bóg rzecz osadzi i wynagrodzi was innym razem”.

— Ha, psia jego mać. Dobrze wie, co w niebie myśli!

— Własne Brysia słowa. Więc im rzekłem, że takich spraw Pan Bóg nie sadi, tylko ludzie na ziemi. A jak Pan Bóg będzie te sprawy sadił, to nam Rady Narodowej nie potrzeba, żeby była Rada na papierze tylko zapisana!

— Ha, psia jego mać. Dobrze wie, co w niebie myśli!

Nadszedł Tulik i Jaskółka wydo-

— Jadę do Bradczy i będę dziś w Paru. Partia rozważy i znajdzie sprawiedliwość. Nie oznaczcie krzywdy.

— Iii, jestem spokojna. Wysłałam już list ekspres do Obywatela Prezydenta!

— O! — Jaskółka spojrzał z podziwem. — A, tego, no... Czekajcie, adres podaliście dobry?

— Pewnie! „Do naszego Prezydenta w Warszawie”. A znaczki przylepiłam domowym kłajstrem, żeby nie odpadły i nie było zwrotu. Nakosztuje się Rada wstydu za moją krzywdę.

— Pisać! — że mąż poległ pod Budziszynem?

— A jakże! Widzicie, że mogę spokojnie czekać na odpowiedź, a nie tłuc głową przed Klimkiem, żeby cofnął skargę.

Jaskółka pojechał z mocnym postanowieniem: żeby nie wiedzieć co, dotrą do Warszawy! Nie może tak zostać i marnować się dłużej! Tak był zajęty myślami, że nie dostrzegł śladów samochodowych opon na drodze do gajówki...

Ocknął się dopiero, gdy żołnierz zatrzymał wóz przed obiektem i spytał: kto i do kogo?

— Jeszcze wczoraj mieszkali Tulikowie tutaj, bo gajowce miejsce w gajówce, nie na plebanii. Nie uczyli was o Jaskółce? Nie dobrze! — zaczął konia i wjechał na podwórze. Pod ścianą stał samochód. Kierowca leżał pod wozem i zawzięcie majstro-wał.

— Józek! — Jaskółka pochylił się i zajął pod karoserię. — Robi się wiosna...

— Michał?

— No... Co to, popsuta się wasza maszyną?

— Kłapie w podwoziu. Nie mogę dojść, gdzie tam diabeł siedzi. Czeka, tu jest trochę luzu. Dociegnę.

— Et, nie wydziały! Droga nierówna i stąd blachy hałasują. Mój wóz też brzęczy, jak koń rusza kłusem.

— Michał...

— No, już nie mówię. Rób swoje. Ja ci tylko daję znać, że wiosna, a ty zimę wciągasz w krzywe.

— Gadanie. Wiesz przecież, że on nie lubi, jak w samochodzie kołaczę choćby najmniejszy drobiaz.

— Mówi?

— Nie, ale gotów pomyśleć, że nie znam się, albo nie dbam o maszynę. Ledwie zjechałszy z szosy brzęknę raz i drugi! Widziałem, że generał skrzywił się. Ze wstydu mało nie zacząłem trąbić, żeby te stuki zagłuszyć.

Nadszedł Tulik i Jaskółka wydo-

wielkiej idei marksizmu — leninizmu, o zwycięstwo polskiej klasy robotniczej, o niepodległość Ojczyzny. W dziesiątą rocznicę śmierci Marceliego Nowotki wieramy jeszcze mocniej szeregi Frontu Narodowego w walce przeciwko jego mordercom, na każdym kroku bezlitośnie demaskując wszelkie zakusy wrogiego imperializmu amerykańskiego, godzące w nasz niezależny byt narodowy. „Zjednoczeni w szeregach Frontu Narodowego pod kierownictwem Bolesława Bieruta, spełnimy testament Marceliego Nowotki — zbudujemy Polskę Socjalistyczną”.

był list. Przeczytał nie wszystko, bo- wiem nie chciał urazić gajowego niezręcznym pytaniem starego Coka.

— Widzisz? — pokazał pocpis. — Sierżantem już jest! Jak nie pojdziesz do szkoły i oficerem zostaniesz! Udał mi się chłopak, co? Nie ciągnij do izby, bo zaraz jadę dalej. Słyszales? Rosikowa wysłała list ekspres do Prezydenta!

— Bryś ważny, bo daleko pluje. Odgrza się.

— Zobaczymy! A mnie znów czeka droga. Pojadę do Warszawy. Co ty na to?

— Ej, Michał! ciągle nadstawiasz otwartą gębę? Muchy już bzykają, może wlecieć która. Nie zalać wiesz, że w Centralnym Zarządzie wysłuchują i przyznają rację.

Jaskółka obruszył się na takie gadanie.

— Jechać, nie jechać, pojedą! Dyrektor z Krakowa nie wart pieczęci wiesz. W Warszawie inna sprawa. Muszą zrozumieć!

— Słusznie. Trzeba się uczyć do-pominać o swoje! — rozległ się głos z nim.

— Obywatelu generale, nie idzie o moje. Ziemi dzieje się krzywda. Jak jej nie bronić?

— A czyje to wszystko? — generał ruchem ręki ogarnął okolicę. — Wasze!

Przeto nie myślę hodować górskich owiec... — mruknął Jaskółka i nagle wywalił, co miał na sercu. Nie pominął ani buraków, ani owiec, ani uśmiechów dyrektora z krakowskiego urzędu. Na ostatku użalił się na brak części do popsytego traktora.

Generał zaciągnął się dymem i uważnie patrzył w stroskaną twarz chłopca. Naraz spytał:

— A wiecie, co to są gąsieniczniki?

Jaskółka poruszył się niespokojnie, chrząknął, lecz nie rzekł nic.

— To błonkoskrzydłe owady o wysmukłym ciele, ciekawe tym, że jajka swoje składają w gąsienicach motyli. Z jaj wyrastają poczwarki. Żyją, rosną i rozwijają się w lisce. A gdy nabiorą sił, wtedy rzucają się hurmem, przebijają skórę i wychodzą na zewnątrz. Gąsienica ginie... I są ludzie podobni do tych owadów. Chcieliby postąpić z nami, jak poczwarki z liszką motyla! Najpierw upaść na brzuch rewolucji, a potem ją zabić.

— Zaraz mi się wydało, że znam te gąsieniczniki...

Stanisław Zieliński

Fragment powieści pt. „Jeszcze Polska”, która ukaze się nakładem SWO „Czytelnik”.

Pomówmy o sprawach czytelnictwa na wsi

WANDA MICHALSKA

BIBLIOTEKA NA WSI

A KCJE czytelnictwa na wsi prowadzą różne sieci biblioteczne, mianowicie:

1. sieć publicznych bibliotek powszechnych,
2. sieć bibliotek Związków Zawodowych,
3. biblioteki ZSCh.

Z wymienionych wyżej sieci, zasadniczą i podstawową trzon stanowi sieć publicznych bibliotek powszechnych, która obsługuje wieś poprzez biblioteki powiatowe, gminne i punkty biblioteczne.

Najbardziej docierającym w teren placówkami bibliotecznymi są punkty biblioteczne. Na nich głównie po-

2. Przewidywane wykonanie na rok 1952 wyniesie około 6100 tys. tomów, co stanowi przeciętnie 2000 tomów na gminę.

3. Do tego dochodzą zasoby bibliotek powiatowych:

w roku 1951 — około 3 mln. tomów,

w roku 1952 — przewidywane wykonanie 3900 tys. tomów.

Wniosek z tego, że pod względem ilościowym zaopatrzenie bibliotek jest zadowalające, natomiast stan jakościowy pozostawia wiele do życzenia.

W drugim półroczu br. polityka zakupu centralnego idzie już po linii wskazań VII Plenum KC PZPR, realizując hasło wzmacniania spójni między miastem a wsią.

O poziomie pracy w bibliotece decyduje głównie bibliotekarz. Niestety należy stwierdzić, że kadry bibliotekarzy gminnych wciąż jeszcze nie stoją na wysokości zadania.

Niedostateczne jest jeszcze ich przygotowanie ideologiczne i zawodowe.

Znaczny odsetek niepełnozatrudnionych bibliotekarzy utrudnia właściwą działalność bibliotek. Stanowiąca bibliotekarzy opłacanych ryzykownie, obsadzane były przez nauczycieli, którym obowiązki zawodowe nie pozwalały w pełni oddać się pracy w bibliotece. Wyrażny zwrot w kierunku wymiany kadr na pracowników spośród młodzieży chłopskiej nastąpił w ostatnim okresie.

W roku 1951 mieliśmy w bibliotekach gminnych 1350 pracowników stałych, w bieżącym roku jest ich 1500, w roku 1953 planuje się wzrost do 1800 pracowników pełnozatrudnionych. Mimo, że wzrost ten jest znaczny, to jednak w 1953 r. jeszcze 40% bibliotek gminnych obsługiwane będzie przez pracowników na drobnych ryczałtach, traktujących swą pracę, jako pracę dorywczą, dodatkową. A przecież biblioteka gminna jako centralna ma poważne zadania kulturalno-oświatowe, poważne zadania polityczne, którym winna sprostać.

Stan kadr pogarsza się przez katastrofalną ich płynność. Mówiliśmy już o tym kilkakrotnie. Jesteśmy skłonni w pierwszym rzędzie przypisywać to niskim płacom. Ma to niewątpliwie wpływ na stan obsady personalnej bibliotek. Przystępując do realizacji postanowień Ogólnokrajowej Rady Bibliotekarzy, CZB wystąpił z szeregiem wniosków zmierzających do osiągnięcia poprawy. Są to wnioski o zmianę tabeli stanowisk i dodatków służbowych oraz funkcyjnych, o przyznanie dodatków specjalnych dla bibliotekarzy, o przyznanie etatów pracowników nauki dla wielkich bibliotek powszechnych, o dodatki za znajomość języków i wysługę lat. Niektóre z tych wniosków będą załatwione łącznie ze sprawą „statutu

pracowników kultury”, opracowywanego obecnie w wykonaniu uchwał rady szczecińskiej.

Z zagadnieniem uregulowania sytuacji służbowej bibliotekarzy łączy się też opracowany przez CZB projekt zarządzenia normującego sprawę kwalifikacji pracowników bibliotek powszechnych.

Uregulowanie zagadnień uposażeniowych nie usunie oczywiście wszystkich braków naszej polityki kadrowej.

Osoowym zagadnieniem jest sprawa dwudziestu kilku tysięcy kierowników punktów bibliotecznych.

Jest to aktyw wiejski, ochotniczy element społeczny w służbie upowszechniania czytelnictwa na wsi. Ten szeroki aktyw wymaga troskliwej opieki i przeszkolenia ideologicznego i fachowego, szczególnie w zakresie pracy z czytelnikiem. Okresowe odprawy z tym aktywnym podnoszą jego poziom ideologiczny i czytelniczy. Narady te są jednak jeszcze rzadko i nie systematycznie przeprowadzane. Nie obejmują wszystkich kierowników punktów bądź to z przyczyn finansowych, komunikacyjnych, bądź z powodu trudności odcierania się tych ludzi od ich codziennych zajęć. Przynałe w tym roku na ten cel fundusze nie zostały przez nas wykorzystane odpowiednio, trzeba jeszcze od Wydz. Kultury je wygospodarować.

Podstawowym terenem działalności bibliotek ZSCh na wsi są spółdzielnie produkcyjne.

Księgozbiory bibliotek w spółdzielniach produkcyjnych winny być troskliwie dobrane, systematycznie i dostatecznie uzupełniane.

Winną one specjalnie uwzględnić specyfikę życia spółdzielni, zawierać właściwą treść społeczną i polityczną. Praca z czytelnikiem-spółdzielcą musi oprzeć się na nowych metodach.

Wynika stąd paląca potrzeba zająć się tym problemem, wzmocnić wysiłki ZSCh i wydawnictw pomocy CZB. Sieć publiczna otoczy biblioteki we wsiach spółdzielczych opieką przez stałe uzupełnianie ich odpowiednio dobranym księgozbiorem wymiennym.

ZSCh winien najlepszy swój aktyw oświatowy kierować do prac kulturalno-oświatowych w spółdzielniach produkcyjnych.

Biblioteki ZSCh obejmują swoją działalnością również wsie indywidualne. Nie stanowią one sieci bibliotecznej. Przeważnie nie można ich nazywać bibliotekami. Są to raczej stałe punkty biblioteczne o księgozbiorze uniwersalnym od 50 do 1000 tomów. Rozmieszczenie ich nie jest planowe. Powstają przeważnie w formie daru dla wsi w nagrodę za pracę społeczną i oświatową. Stają się własnością danej gromady. Minimalnie uzupełniane (10—20 książek rocznie) starzeją się. Wanda Michalska

LESŁAW BARTELSKI

SPRAWA PIERWSZA

ZAGADNIENIE czytelnictwa w naszym kraju, a w szczególności czytelnictwa na wsi wymaga w chwili obecnej ważnego przemyslenia wszelkich spraw z nim związanych, a to z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze poszerza się z każdym rokiem sieć bibliotek i punktów bibliotecznych, a z tym, jak zresztą w prawie każdej dziedzinie życia u nas, wiąże się palący problem kadr. Po drugie wzrasta ilość tomów docierających do najniższych komórek organizacyjnych, co wiąże się w swej podstawowej mierze z planem wydawniczym jak i pracą literatów. Jesteśmy świadkami, że zapotrzebowanie na książki wzrasta się. Wiek, przede wszystkim wieś chce czytać i zaczyna stawiać pierwsze nieśmiało żądania pod adresem tych, którzy winni o tę książkę zadbać. Z tym problemem co czytać i jak czytać wiąże się oczywiście znowu paląca sprawa kadr. Fakt, że wysunęliśmy się na drugie miejsce w świecie pod względem ilości bibliotek i punktów bibliotecznych oraz ilość tomów, składających się na

Sprawa kadr to zagadnienie szczególnie ważkie. W czasie majowego zjazdu widzieliśmy wspaniałych przodowników w tej dziedzinie. Ale armia bibliotekarzy, niestety, nie składa się wyłącznie z przodowników. Podstawowy jej trzon tworzą przeciętnie pracujący, a także nie możemy zapominać, że znajduje się spora grupa maruderów. Od przodowników można się było uczyć metod pracy, indywidualnych metod walki poszczególnego bibliotekarza czy bibliotekarki o popularyzację książki. Ale nie zapomniemy jednak, że mimo tych czy innych doskonałości osiągnięć zawsze pozostanie to partyzantka, a my dzisiaj musimy przejść do ataku frontalnego na wszystkich odcinkach czytelnictwa.

Bibliotekarz dzisiaj nie ma wyraźnie sprecyzowanego stanowiska społecznego i to wydaje się być bolączką podstawową. Sami bibliotekarze wyuczają to dobrze. Kiedy min. Sokorski deklarował w imieniu rządu załatwienie spraw bytowych bibliotekarzy były mniej więcej okłaski aniżeli przy zapewnieniu wzmocnienia stanowiska społecznego bibliotekarza. Sprawa god-

mi podstawowymi obowiązkami, do kształtujących się w swoich specjalnościach a po większej części aktywne pracujący społecznie. Można od nich wymagać czynnego współdziałania na odcinku czytelnictwa i propagandy książki, ale nie można żądać, aby ta praca spadała wyłącznie na ich barki. Drugą kategorią bibliotekarzy wiejskich są ludzie, traktujący swoje obowiązki z zamiłowaniem, ale na ogół pozbawieni prymitywnych wiadomości z dziedziny czytelnictwa i jego organizacji. Trzecią kategorią tworzą ludzie zupełnie przypadkowi, ale nimi zajmować się nie warto.

Jakiś wniosek z tego pobieżnego przeglądu, dokonano w sposób uproszczony, by tym silniej wypunktować problem kadr w czytelnictwie wiejskim? Wniosek nasuwa się nieodparcie jeden — wieś musi otrzymać bibliotekarza, któryby w pełni z przekonaniem mógł się poświęcić pracy kulturalno-oświatowej. Ale rzecz jasna funkcję jego nie powinny zacięśniać się do biblioteki i propagowania czytelnictwa. Takiego bibliotekarza powinien zainteresować i świetlica gromadzka i teatr amatorski, zespoły głośnego czytania czy nawet pogadanki szkoleniowe dla starszych. Musi on spełniać warunki przodownika kultury na wsi! Wzmocnienie zawodowości, a co za tym idzie i fachowości, podniesie społeczne znaczenie bibliotekarzy i sprawi, że stanie się on jednym z niezbędnych czynników, decydujących o dalszych przemianach wsi. Bibliotekarz i nauczyciel oto dwa główne elementy, które świadczą, że rewolucja kulturalna postępuje naprzód.

Nie omawiam tu, rzecz jasna, problemu wyszkolenia bibliotekarzy. Jest to sprawa dalsza i aktualna dopiero wtedy, gdy Państwo Ludowe zdecydowało, że sprawę kadr w bibliotekarstwie należy postawić ostro i bezkompromisowo. Bibliotekarz nie może być nicyim pomocnikiem, jak to bywa dotychczas, musi rozwijać pełną działalność, tak jak pisał o tym przed laty Lenin: „Państwo powinno przede wszystkim dbać... o to, żeby miał kto czytać, żeby było więcej umiających czytać” (Lenin, Pisma wybrane, t. II, str. 89). Problem więc kadr przy stworzeniu takiej ilości ośrodków czytelnictwa, jaką mamy, jest zagadnieniem decydującym.

W związku z tym dość szerokim zagadnieniem upowszechnienia kultury, musi paść oczywiście pytanie, kto ma być odpowiedzialny za jej realizację. W chwili obecnej mamy aż cztery pionierzy biblioteczni: biblioteki publiczne, podległe Ministerstwu Kultury i Sztuki, biblioteki Związków Zawodowych (w tym zakreślenie, jeśli chodzi o wieś, to mamy do czynienia z bibliotekami w PGR-ach), biblioteki ZSCh oraz biblioteki szkolne, nie licząc szeregu organizacji masowych, z których każda ma ambicję stworzenia własnej sieci bibliotecznej. Te liczne pionierzy biblioteczni powodują chaos. Bywają wieś, gdzie istnieje biblioteka w trzech odmianach: publicznej, samopomocowej i szkolnej, a bynajmniej nie wpływa to na wzrost czytelnictwa w danej wsi. Przeciwnie. Brak skoordynowania działalności rozprasza i tak wątle siły poszczególnych opiekunów bibliotek, na czym najbardziej cierpią czytelnicy. Pionierzy biblioteczni — naszym zdaniem — winny być dwaj: publiczny oraz oświatowy. Wtedy i zapotrzebowanie bibliotek nabierze specyficznych właściwości, pozwalających na dobrą specjalną a nie przypadkową Związków Zawodowym oraz Samopomocy Chłopskiej przypisać wtedy rolę czynnej opieki nad czytelnictwem i bibliotekę, ta sama opieka winna przejawiać Rady Narodowe, które na ogół zapominają o tak istotnej funkcji społecznej, jaką odgrywa czytelnictwo.

Te dwa postulaty natury ściśle organizacyjnej nie wyczerpują wcale zagadnienia czytelnictwa na wsi. Są dopiero wstępem do szczegółowej analizy tego, co wieś czyta i jak czyta. Odpowiedzialność ciążyąca na kadrach w tym zakresie ma swą szczególniejszą wymowę. Bibliotekarz dobrze przygotowany do swego zawodu na pewno nie dopuści, aby na półkach (o ile oczywiście biblioteka je posiada) leżały przyspane pyłem zapomniane broszury na tematy aktualno-polityczne. Bibliotekarz dobrze przygotowany do jeden z priorytetów podwyższenia planów oraz gospodarki zespolonej. Bibliotekarz dobrze przygotowany do swego zawodu na pewno nie dopuści, aby na półkach (o ile oczywiście biblioteka je posiada) leżały przyspane pyłem zapomniane broszury na tematy aktualno-polityczne. Bibliotekarz dobrze przygotowany do jeden z priorytetów podwyższenia planów oraz gospodarki zespolonej. Bibliotekarz dobrze przygotowany do swego zawodu na pewno nie dopuści, aby na półkach (o ile oczywiście biblioteka je posiada) leżały przyspane pyłem zapomniane broszury na tematy aktualno-polityczne.

Nawet z pobieżnych danych wynika, że wieś chce czytać i domaga się książki. Zły zestaw biblioteczny i niefachowy bibliotekarz, nie umiający zacięć czytelnika do lektury czy też urezający mu książkę nieodpowiednią dla jego poziomu umysłowego nie są w stanie przestąpić nam fakt, że czytelnictwo na wsi jest wielką siłą. Ale aby te siły w pełni wykorzystać i jak rzekę skierować we właściwe łozysko należy usprawnić sterki organizacyjne czytelnictwa. Widnie się to nam przedstawia trudnym zadaniem, boz których trudno prześledzić doświadczeń na tym co czynić i jak czytać. Co sądzicie o tym, Czytelniku?



ten wspaniały księgozbiór, nie powinna przesłaniać nam podstawowego zagadnienia, na ile te biblioteki są wykorzystywane przez czytających i czy spełniają swą funkcję polityczną.

Zagadnienie czytelnictwa na wsi to dalsze konsekwencje walki z analfabetyzmem. Zlikwidowanie go w tak krótkim przeciągu czasu świadczy dobrze o naszych możliwościach organizacyjnych. Z drugiej jednak strony zawsze będzie grozić obawa utrącenia analfabetyzmu i sprawa ta musi być rozwiązana właśnie poprzez wzmoczoną akcję czytelnictwa.

ności zawodu jest w tej mierze decydująca. Kim jest bibliotekarz na wsi? Czy w kolektywie, decydującym o wroście gospodarczym i kulturalnym wsi ma on jakiś głos? Z doświadczeń własnych i z danych, zresztą skąpych w tej mierze, wiemy, że jest wprost przeciwnie. Na ogół funkcję tę pełnią ludzie przypadkowi, nie mogący w pełni poświęcić swego czasu na propagowanie książek. A więc będą tu przede wszystkim nauczyciele, których roli w dzisiejszej rewolucji kulturalnej pominąć nie sposób, tak jest domnióska i pełna poświęcenia, ale są to przecież ludzie obciążeni swoi-

gadnień. Łapie życie na gorąco, we wszystkich jego przejawach. Wypełnia w granicach swojej kompetencji zadania realizacji wytycznych Partii i Rządu. Kontroluje więc wykonanie planów, rozwój przemian i walki, bdy i odchyleń. Krytykuje na przykładach i na przykładach wskazuje nowe wzory, nowe rozwiązania. Uczy zatem i organizuje. Staje się cenne i bezpośrednio ważne dla działaczy z wielu dziedzin: dla ludzi z gminnych i powiatowych szczebli władzy ludowej, dla aktywistów politycznych, nauczycieli, świetlicowców, przodowników rolnych, pomocników, pegerzystów i spółdzielców z GS-ów, PZGS-ów oraz spółdzielni produkcyjnych.

Nie jest to oczywiście podnoszenie specjalistów w technice ich specjalności. Jest to ogólniejsze, kulturalno-polityczne podnoszenie działaczy w ich funkcjach i zadaniach, przez ukazywanie wielu związków łączących ich zakres pracy z innymi w określonym środowisku. Uczenie widzenia głównych zagadnień w terenie, od których zależy często poprawa rozwoju w innych dziedzinach życia.

To podnoszenie świadomości kulturalno-politycznej działaczy, to odświeżanie równocześnie trosk, wysiłków, zwycięstw i radości milionów dokonują pisma literackie — społeczne metodą „wycinieków”, odzwierciedlenia zagadnienia w wybranych, zlokalizowanym środowisku. Stąd najczystsza tu i najodpowiedniejsza forma ujęcia są: reportaż, obrazek, opowiadanie, notatki, list, portrety i zyciorysy, chwytne na gorąco, w akcji, w walce nowego ze starym, w historycznym niejako punktowaniu nowych przemian i rozwoju.

Wreszcie sprawa trzecia. To zjawisko powtarzania się tych samych nazwisk we wszystkich pismach. Nie myślę bynajmniej kwestionować tego zjawiska w samej zasadzie. Przeciwnie, uważam za celową wymianę doświadczeń i bliższą współpracę wzajemną pism literacko-społecznych. Czego również brak. A czy na wspólnym froncie walcząc i pracując nie powinno każde pismo literackie odnotowywać ciekawe i ważne pod jakimś względem pozycje z innych pism literackich? Byłaby to od-

miana krytyki b. ciekawa — pożyteczna. Byłaby to równocześnie kontrola wzajemna tego, co pisma literacko-społeczne. Zrobiły w walce o nowe i dla umocnienia nowego.

Ale też wówczas odstąpiłaby się jasniej specyfika pism. Bo przecież o nie idzie. Ona uzasadnia ich prawo do życia. Ona ukazuje jak bogactwo środków i zakresy operatywne naszej polityki kulturalnej.

Dlatego udział tych samych pisarzy w różnych pismach winien mieć bardziej uzasadnione powody (pomijam tu prozę i poezję, potrzebną wszystkim pismom nie tylko dla samej literatury ale również dla propagowania wśród czytelników wszystkich pisarzy). Te bardziej celowe powody, to — moim zdaniem — wymiana doświadczeń, autorytatywna wypowiedź, czy też dowiedzieć w sprawach dotyczących takich czy innych zagadnień sztuki i współczesnego życia, stawianych już w danym piśmie lub przenoszonych z innych ze względu na ich ważność.

Ale wydaje mi się, że mechanizm powtarzania się tych nazwisk działa dotąd na innych zasadach. Idzie po prostu o „najlepsze nazwiska”. Rozrywani w ten sposób świetni autorzy piszą w gruncie rzeczy to samo tu, tam i jeszcze gdzieś indziej. Taką polityką sprawia, że pisma stają się podobne do siebie, zaważa się i gnie ich specyfikę. Zważa się krag czytelników do miłośników literatury i naczelnich pisarzy. Pisarze młodzi i mniej świetni pozostają na boku, nie rozwijają się i nie bogactwo szerokiej przecież i wielozakresowej pracy kulturalnej, właśnie bieżącej, czego od pism czytelnik słusznie wymaga.

A przecież idzie o to, żeby czytelnik — inteligent, miłośnik literatury i ciekawy życia literackiego przy pomocy pisarzy i za ich pośrednictwem rozszerzał w pismach krag swoich zainteresowań, łączył się tak najpełniej z narodem. Idzie o to, żeby nowy inteligent, wyrastający w głąb kraju lub tam postawiony na posterunku mógł w piśmie odnaleźć coś ze swego świata, z jego mechaniki rozwoju, co by było właśnie podniesione do rangi literackiego obrazu.

A. Kowol-Marcinek

Lesław Bartelski



Nad listem do redakcji o przeczytanych książkach

winna się oprzeć praca nad upowszechnieniem czytelnictwa na wsi.

Sieć punktów bibliotecznych na wsi rosła z roku na rok i tak w 1951 r. było ich 19.400, w 1952 r. już 21.400. Plan na 1953 r. przewiduje wzrost do 24.000. Wzrost ten musi być nadal utrzymany, tak aby każda wieś, każde osiedle miało zapewniony dostęp do książki. Waznym zagadnieniem organizacyjnym w sieci bibliotek publicznych jest sprawa zapewnienia im odpowiednich warunków dla udostępnienia książki i szerzenia czytelnictwa. Biblioteka na wsi winna mieć odpowiedni lokal, który przyciągałby czytelnika estetycznym urządzeniem, atmosferą ciszy i spokoju, odpowiednio ogrzany i oświetlony, co zapewnia dobre warunki do pracy z książką.

Niestety te warunki są obecnie jeszcze b. różne i często niezadowalające.

Jak przedstawia się sprawa księgozbiorów?

Zaopatrzenie sieci publicznych bibliotek powszechnych na wsi w książki przedstawia się następująco:

1. W latach 1948 — 51 dostarczono centralnie przez Ministerstwo i K. U. K. około 5.500.000 tomów.

*) Fragmenty referatu wygłoszonego na konferencji w Centralnym Zarządzie Bibliotek.

A. KOWOL-MARCINEK

O NASZYCH CZASOPISMACH SPOŁECZNO-LITERACKICH

JESTEM, jak wiadomo, bibliotekarzem gminnym. W mojej pracy nieocenioną pomoc oddają mi czasopisma literackie. Miał tu na myśli nasze naczelne tygodniki: „Nową Kulturę”, „Wies”, „Życie Literackie” i „Przegląd Kulturalny”. Stanowią one swojego rodzaju „szkołę”, bez której nie umiałbym żyć i pracować na polu upowszechniania kultury i oświaty.

Toteż pragnąłbym, aby te pisma weszły jak najgłębiej w teren i tam upowszechniły się jak najszerzej. Dotychczas, niestety, w bardzo małej ilości docierają one do indywidualnego nabywcy w powiecie i gminie. Nie zawsze mają je nawet bibliotekarze gminni, nie mówiąc już o punktach gromadzkich. Nie żyje nimi i nauczyciel wiejski a często jeszcze i licea wiejskie czy w małych miasteczkach. W GRN i Komitetach Partii, ZSL-u, ZSCh również rzadko je spotkasz. A przecież w rewolucji kulturalnej powinni świadomie brać udział działacze szczebla gminnego. Na szczeblu gminnym w Radzie i Komitecie powinien zawsze znaleźć się ktoś kto by osobiście i bezpośrednio odpowiadał za ten odcinek pracy. Kłoby zatem rozwijał się i szkolił w tym zakresie. Nie można dzisiaj nie doceniać pogłębiania rewolucji kulturalnej. Teraz bez kultury daleko już nie zajdziemy. Znajdujemy się w okresie, kiedy chłopom cierpliwie i bez przerwy tłumaczyć mamy przyczyny i cele naszych przemian, środki i sposoby ich realizacji. Kiedy uprzątam śmiecia zacofania i starych uprzedzeń, kiedy pobudzamy chłopów do myślenia szerszego, wnikliwszego i tak śmiałego, jakiego w sobie dawniej nie przeczuwali nawet.

Powiedziałbym, że wśród samych chłopów ten rozruch kulturalny przebiega nieraz działaczy szczebla gminnego i powiatowego. Przodownicy w produkcji rolnej są czytelnikami, fakt i czytają coraz więcej i więcej. Wśród członków Ogólnokrajowego Konkursu Czytelniczego znajdujemy wielu doskonale zorientowanych w literaturze radzieckiej i współczesnej — polskiej. Są okoliczności, gdzie pewne książki stały się hasłowym zwołaniem. O tym więc również nie możemy zapomnieć, że chłop w swoich aktywistach, wy-

niesionych awansom społecznym na stanowiska gminne i powiatowe, chcieliby również widzieć ludzi o bogatszej i pociągającej kulturze.

A weźmy naszych aktywistów politycznych pod kontrolę na jednym tylko odcinku — lektury politycznej. Otóż wartoby przeprowadzić ankietę po bibliotekach gminnych: kto, ile i jak często czyta i tak prawie jedną trzecią każdego księgozbioru, jaką wypełniają książki i broszury o walce narodów kolonialnych, o położeniu narodów w krajach kapitalistycznych o wielu zagadnieniach i wydarzeniach społeczno-politycznych w Polsce Ludowej? Głównie dają, że działacze polityczni czytają te lektury (a to ich arsenał bojowy i broni walki z argumentacją imperialistyczną) najrzadziej i stanowiąc za mało. Pozostają w tyle za przodownikami w rolnictwie, którzy w swym zakresie od ściśle fachowej lektury przechodzą do Łysenki, Safonowa, Szolochowa i Bajewskiego.

Wracam do pierwszej sprawy. Do propagandy pism społeczno-literackich w terenie. Propaganda ta obowiązuje wydawnictwa, redakcje i kolportaż. Szczególnie ten ostatni, który nie może zamienić się tylko w instytucję ekspedycji. A wygląda na to, że podlega (z dobrej woli) Ministerstwu Kolei i Dróg Lądowych. To mało, gorzej, to nieporozumienie. Kulturę zawsze się propaguje B. człowiek w nią wchodzi z trudem i z oporami, w walce. Kolportaż więc winien walczyć o swój dółow propagandą. Kolportaż winien być oparty pod tym względem o jakiś Instytut Badania Czytelnictwa Prasy. Mieć w planie strategię zdobycia działaczy (w społecznych i państwowych instytucjach) na szczeblu powiatu i gminy.

Dla niego lista przodowników rolnictwa, lista przodujących czytelników, zasłużonych nauczycieli, zdolnej młodzieży w szkołach, przodujących POM-owców, pegerzystów i spółdzielców powinna stać się podstawą do rozszerzenia kolportażu prasy lit. i ak. społecznej. Podstawą do praktycznych doświadczeń — jakich szukać sposobów zdobycia nowego czytelnika?

Cieszymy się masowym czytelnikiem „Gromady - Rolnika”, „Przeglądu”, „Chłopskiej Drogi” a

nie przychodzi Wydawnictwom i Kolportażowi do głowy, że wśród tych podchowanych mas czytelników nie mały procent podróży i potrzebuje dalszego rozwoju a więc spotkania i życia się z piśmami społeczno-literackimi. Olbryzia lista (kilkunasto-tysięczna) korespondentów, oto nowy teren dla pism społeczno-literackich, potrzebnych korespondentom dla pogłębienia analizy przemian w terenie, dla pogłębienia ich pracy dziennikarskiej.

Sprawa druga. Miliony czytelników „Gromady” i „Przeglądu”, to nie tylko sprawa łatwej do zrozumienia lektury. To również sprawa treści pisma, bezpośrednio powiązanych z życiem współczesnym chłopów.

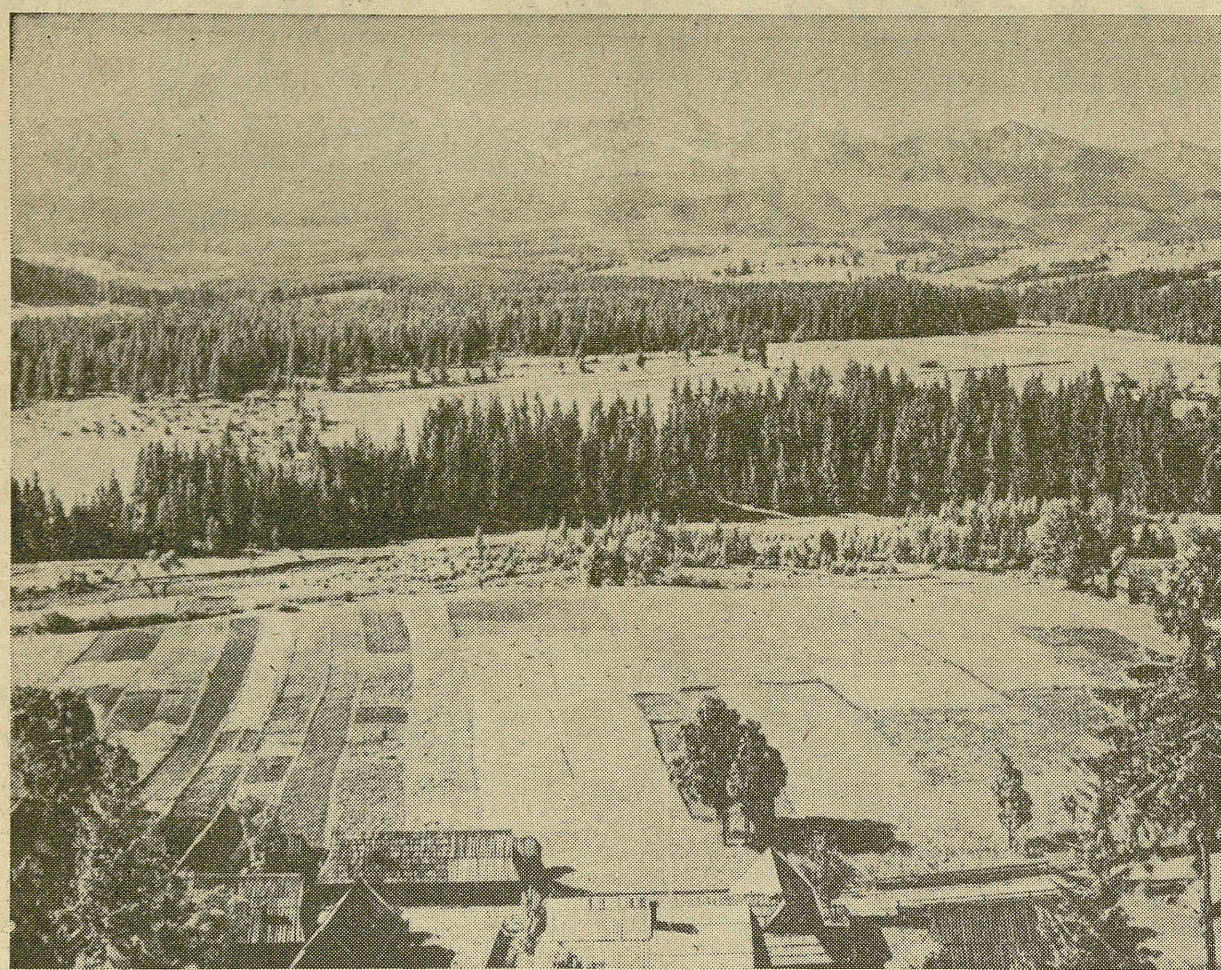
Tu dotykamy niemałego grzechu naszych pism literacko-społecznych. Za mało są one powiązane z terenem, za mało w nich terenu. Oznacza to, że pisarze za mało są (w pismach) agitatorami. Za mało bywają w terenie i za rzadko dysponują akcją, czy etapem, na jakim w danym roku, w danych miesiącach i dniach znajduje się wieś.

Oznacza to, że redakcje cierpią na brak współpracowników — terenowców, korespondentów, reprezentujących teren i zabierających go we wszystkich ważnych w terenie sprawach. Brak ich jako autorów w pismach literacko-społecznych i jako dostawców materiałów sygnalizujących zagadnienia, które podjęły publiczność, politycy kultury i pisarze.

Kiedy na łamach „Wsi” ukazał się mój pierwszy artykuł, a następnie dalsze „Wies” stała się dla bibliotekarzy „swoim” piśmem i prenumerowana jest bodaj przez wszystkie biblioteki w województwie poznańskim.

„Za mało terenu” — to znaczy, brak pełnego obrazu terenu, od miesiąca do miesiąca, od jednej bitwy do drugiej, od jednej sprawy do drugiej i to w wielu naraz zakresach życia.

Najlepiej przedstawia się sytuacja we „Wsi” zarówno pod tym względem, że pismo współdziała z wielkim zespołem korespondentów, jak też i pod tym, że wysłał pisarzy w teren dyspozycyjnie, dla uchwycenia aktualnie ważnych za-



ANTONI KOWALCZYK

POWIAT LIMANOWA

KIEDY, po wielkim zwycięstwie wyborczym przemierzam w myśl drogi, jaką przeszedł nasz powiat w ciągu lat władzy ludowej, z nieodpartą siłą nasuwają mi się wspomnienia z czasów mojego dzieciństwa.

Pamiętam do dziś, jak dzieci dwuhektarowego chłopa z Tymbarku — jadaliśmy w przednówek obierki z ziemniaków i owsianki, a skąpe porcje ziemniaków uważaliśmy za nieładną przysmak. Pamiętam, z jakim gniewem i nienawiścią spoglądaliśmy na oświetlone okna obszarniczego pałacu państwa Turskich, skąd niemal co wieczór dobiegały odgłosy hucznych pijatyk i przyjęć, na wyflukane panie i wypasionych, upierścienionych panów dziedziców rozbijających się karetami po naszej wsi. Takich, jak oni było w naszym powiecie czternaście rodzin, a posiadali 4448 ha najlepszej ziemi. Takich jak my — 85 tys. rodzin na 30 tys. ha ziemi. Policzone: na 1 gospodarstwo przypada 3 — 5 ha ziemi ornej, i jakąż to była ziemia! Licha podgórska, wyjąłowana — bo któremu z limanowskich biedniaków starczyło na zakupienie nawozów sztucznych? Inna rzecz, że naszym władcom wydawała się widocznie lepsza od pańskiej, bo mało rolnym wyznaczano z reguły 3 razy większe podatki niż obszarnikom, a chłop z Laskowa, posiadający najgorszą w okolicy ziemię, płacił ośmiokrotnie więcej z ha niż jeden z najbogatszych obszarników limanowskich — pan Michałowski. Nie mogła wyżyć ta ziemia rodziny biedniackiej, składającej się najczęściej — jak nasza z 8—9 osób. Cóż nam było z tego, że chcieliśmy się uczyć, kiedy nie starczyło w rodzinie obuwia, aby nawet co 3 dziecko mogło chodzić do szkoły? I cóż nam było z tego, że chcieliśmy iść do pracy, odciały ten przepłoniony skrawek ojcowiskiej ziemi, kiedy w całym powiecie Limanowa było wszystkiego dwa większe zakłady przemysłowe: browar i rafineria zatrudniająca łącznie ok. 500 pracowników na blisko 100.000 mieszkańców. Rok w rok emigrowało z naszego powiatu przeciętnie 300 chłopów na stałe, a sezonowo — na saski — ok. 500. W roku 1932 cyfra ta doszła do pełnego tysiąca. Sytuacja pogorszyła się jeszcze kiedy w r. 1934, właściciel rafinerii — zagraniczny kapitalista — zamknął fabrykę i nawet już zatrudnieni robotnicy pozostali zostali pracy. Ale pozostały otwarte 16 karczem obszarnika Marsa, właściciela limanowskiego browaru: tylko przy drodze z limanowskiego rynku do Sowlin (przebiega ok. 4 km) znajdowało się 6 karczem Marsa, rozpływających robotników chłopów, aby wydrzeć im ciężko zapracowane grosze.

Toteż nie dziwnego, że w takich warunkach wybuchały raz po raz buntury ciemionych i wyzyskiwanych chłopów limanowskich. Polała się krew chłopstwa w Kasince Małej, zapelnili się sanacyjne więzienia. Dziś jeszcze można oglądać na naszej powiatowej wystawie okrutne wyroki sądu sanacyjnego na bojowników z tych lat: Franciszka Holotę z Rupińowa, Ignacego Jastrzębia z Jodłownika, Ignacego Polewskiego, Józefa Gabryczyńskiego i innych. Hitlerowski okupant okrutnie spacyfikował Porabkę, w Męcinie powieszono 200 chłopów, w Starej Wsi rozstrzelano 19-tu. Parkowa Górka stała się grobem wszystkich Żydów z Limanowej. Dziesiątki patriotów zamknięto do obozów koncentracyjnych m. in. radykalnego Wiciarza ze Stopnic Wiktora Woźniaka, członka trójki odbierającej wiadomości z radzieckiej radiostacji „Moskwa”.

Dziś ten sam Woźniak, syn biedniacki, poniewierany przez panów, więziony i katowany przez hitlerowskich zbirów za walkę o wyzwolenie społeczne i narodowe reprezentuje powiat limanowski w Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. I my wszyscy, malarolni i bezrolni, robotnicy i inteligenci, przepędziliśmy panów Marów, Rygierów, Turskich i innych — od 8-miu lat sami gospodarzami na naszej pięknej ziemi limanowskiej. To właśnie stanowi główne źródło naszej siły i naszych ośmioletnich osiągnięć. Weźcie choćby ostatnią sesję Powiatowej Rady Narodowej, która uchwaliła budżet powiatu na rok 1953. Na cóż bowiem my, radni z ludu, przeznaczaliśmy sumę uzyskaną z podatków ludności 14.395.000 zł? Te 41 proc. budżetu poszło na oświatę, dożywianie dzieci dziecięcych itp. W innej części budżetu duża suma poszła na ochronę zdrowia, a więc na utworzenie pogotowia ratunkowego z 4 sanitarkami, urządzenie szpitala powiatowego, rozszerzenie sieci izb chorych i izb porodowych. Dalej na rozbudowę bibliotek i świetlic (a mamy ich już w powiecie 50). Na nowe drogi i naprawę drogi powiatowej Krasne — Tymbark — Limanowa. Nie zapomnieliśmy w budżecie o sierotach bez ojców i matek — na ten cel przeznaczaliśmy już 111 tys.

Nie ma już przy drodze z limanowskiego rynku do Sowlin karczem. Na ich miejscu wyrósł budynek liceum pedagogicznego, gimnazjum ogólnokształcącego, szpitala, przedszkola, księgarni „Domu Książki”, i wielkiego internatu, gdzie mieszka młodzież wiejska, ucząca się w limanowskich szkołach. A w samych Sowlinach znajdziecie starszą już chłopkę Annę Jeżową, która za wychowanie 16 dzieci odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi.

Ten fakt ma wymowę — zawiera się w nim niejako sens naszych 8-letnich dokonań. Bo chociaż nie zlikwidowaliśmy jeszcze do końca niedostatku i codziennych bytowych kłopotów ludzi pracy, jedno jest wszakże pewne: znika raz na zawsze przekleństwo podkarpackiego chłopca a każde nowonarodzone dziecko nie jest już więcej dopustem bożym, stało się dla rodziców sprawą nadziei, honoru i sławy. Stoją przed nim otworem bramy 63 szkół podstawowych (przed wojną 11) i 3 szkół średnich (przed wojną ani jednej). Czekają na chłopskich synów i córki wyższe uczelnie. Z jednej tylko gromady Młynne, gdzie w ciągu 50 lat wykształcił się zaledwie jeden syn chłopca, zdobywając zawód nauczyciela — w ciągu 8 lat władzy ludowej wyszło 8 nauczycieli, 4 oficerów Ludowego Wojska, 8 zaś sprawuje kierownicze stanowiska w urzędach państwowych. I czeka ich nade wszystko — tak beznadziejnie dawniej oczekiwana praca, którą zagwarantowała limanowskiej biedocie realizacja słusznej polityki uprzemysłowienia kraju. Bujnie wyrasta w powiecie przemysł socjalistyczny — decydujące ognia w łańcuchu naszych przemian.

I tak w Łososinie Górnej powstała betoniarńia i jedna z największych w Polsce roszarnia lnu a w Tymbarku rozbudowano na wielką skalę zakłady przetwórstwa owocowego, których znakomite wyroby znane są nie tylko w Polsce ale i za granicą. Dodajcie do tego rozwój kombinatów w Nowej Hucie i Andrychowie, a otrzymacie zapotrzebowanie na chętnych do pracy, które raz na zawsze wykreśla ze słownika limanowskiego wyraz: bezrobocie.

Przemysł socjalistyczny ciągnie za sobą stopniowo rolnictwo. Nie

tylko przez to, że odciaży karłowate gospodarstwa od zbędnych dawnych gab i rak. I nie tylko przez to nawet, że dostarcza w coraz to większej ilości środków produkcji: maszyn, nawozów sztucznych itp. Wpływa on także bezpośrednio na kierunek produkcji rolnej. I tak rozbudowane na wielką skalę przetwórstwo owocowe pociągnęło za sobą przeszło dwukrotny wzrost sadownictwa (z 350 tys. drzewek owocowych w r. 1938 — do 888 tys. w r. 1952), a nowopowstała roszarnia lnu wpłynęła decydująco na rozwój produkcji lnu. Jeżeli w r. 1945 uprawiano go w całym powiecie 80 ha, to w bieżącym roku areal lnu obejmuje już 1.200 ha.

Nie myśleć jednak, że jesteśmy już z rozwoju naszego rolnictwa zadowoleni. Przeciwnie, widzimy jeszcze w nim poważne niedostatki i zaniedbania — związane z nieprzemysłową wciąż jego karłowatą strukturą i zacofaniem metod uprawy roli. Weźmie chociażby liczbę gospodarstw, które zastosowały w tym roku siew rzędowy: 1.200 na ogólną ilość 22 tys. gospodarstw. Oczywiście, że i to można traktować jako poważny postęp w porównaniu z latami przedwojennymi, gdy chłop malarolny w ogóle nie miał dostępu do maszyn.

Jednak w obecnych warunkach taka cyfra jest niewybaczalna — jeśli zestawiać ją z niewykonanym planem naszych Gminnych Ośrodków Maszynowych, w których w czasie jesiennej kampanii siewnej niejedna maszyna stała nie wykorzystana.

Podobnie ma się rzecz z populacją, których plan zasiewu wykonany został zaledwie w 63 proc. A przecież zasiew poplonów posiada u nas znaczenie szczególnie doniosłe, jeżeli zważyć, że podkarpacka gospodarka rolna nastawiona jest głównie na hodowlę.

Jest zatem naszym obowiązkiem — w odpowiedzi na ostatni apel Prezesa Rady Ministrów — Bolesława Bieruta, z troską się żywić o wykorzystanie tkwiących jeszcze w naszym rolnictwie olbrzymich rezerw — i trzeba przyznać, że sprawę tę dyskutuje się coraz żywiej wśród limanowskich chłopów. Coraz też żywiej interesują się chłopci możliwościami zjednoczenia swych karłowatych gospodarstw w wielkie, wyspecjalizowane gospodarstwa spółdzielcze.

W lipcu i sierpniu br. powstały w naszym powiecie dwie pierwsze spółdzielnie: w Laskowej i Pisarzowej. Choć to dopiero „pierwioski” — ale mają one dla nas znaczenie decydujące, łamią bowiem rozpowszechnioną szeroko przez wroga tezę, że na naszych podgórskich terenach spółdzielczość produkcyjna skazana jest z góry na niepowodzenie.

Rok przyszył przyniesie nam nowe, wielkie inwestycje: w dalszym ciągu rozbudowywane będą zakłady roszarnicze i owocarskie, zelektryfikowane zostanie — obok dotychczasowych sześć gromad — jeszcze 12 nowych w gminach Jodłowa, Pisanowa, Laskowa; planuje się rozpoczęcie budowy wielkiej zapory wodnej i elektrowni.

Jest sprawą głęboko absorbującą umysły aktyw i obywateli powiatu limanowskiego, aby do poziomu rozwoju naszej czołówki — przemysłu, podciągnąć i pozostając w tyle rolnictwo, by wydobyc z niego coraz to szerzej jego rezerwy produkcyjne i przestawać je stopniowo, lecz nieustannie na tory gospodarki spółdzielczej, jedynie zdolnej do uczynienia go wysokotowarowym i w pełni opłacalnym.

Antoni Kowalczyk

WACŁAW PALIK

W OSADZIE BYŁYCH CHAŁUPNIKÓW

ROZŁOŻCIE mapę województwa łódzkiego, odmierząc 30 km od Piotrkowa, 50 od Łodzi, a znajdziecie... Grocholic. Nie wiecie, nie miasteczko — osada. Dwie ulice na krzyż, na skrzyżowaniu rynek, wokół rynek — kościół, Gminna Rada, dom organizacji politycznych, szkoła i zabudowania spółdzielni pracy „Samodział”. Mieszkańców tysiąc. Z czego żyją? Nie z ziemi. Nikt tu nie ma powyżej hektara. Przeciętnie około 50 arów. Coś w rodzaju działki robotniczej na domowe potrzeby. Mieszkańcy Grocholic to robotnicy (pracujący w pobliskim Bełchatowie) i drobni wytwórcy, produkujący znane w naszych i społecznych sklepach samodziały, przeznaczone zazwyczaj na marynarki i kostiumy. Przeszło stu byłych chałupników zrzeszyło się w spółdzielnię pracy „Samodział”.

Do tej osady przybyłem w połowie listopada. Redakcja postawiła mi zadanie: wybierz sobie jakąś wieś z tych, które grają sztuki radzieckie i jedź! Wybrałem, jak to się mówi, na los przypadku. I nie żałuję, choć z bliska Grocholic okazały się nie wsią, a sztuką „Przyjaciele” Gleba Uspieńskiego szła dopiero w próbach.

Dlaczego nie żałuję? O tym właśnie później.

Od słowa do słowa dowiedziałem się o repertuarze, granym w minionych latach. Główne pozycje: rok 1950 — „Maciejowa idzie na wesele”, rok 1951 — „Ludzie z Danguardu” Andersena Nexa, rok 52 — „Przyjaciele” Gleba Uspieńskiego. Przypadek? Nie! Ta linia repertuaru realizuje się w Grocholicach świadomą politykę kulturalną i wychowawczą. Co do tego nie miałem już wątpliwości po pierwszych pytaniach. Organizatorzy teatru a szerzej mówiąc, świetlicy z chórem i orkiestrą, to młodzież z pensjonatowej szkoły w Grocholicach i z liceum w pobliskim Bełchatowie (3 km drogi). Ale sprawę trzeba ująć jeszcze szerzej. W GRN-ie — młodzi, w wielosobowym zarządzie „Samodziału” — młodzi. Świetlica przy spółdzielni „Samodział”, a spółdzielnia — młodzi. W głowie prezydium GRN. Zatem polityka teatralna to batalia pełnego frontu młodego pokolenia. Kogoś chcą zdobyć? Stare pokolenie, w szczególności tę jego „połowę”, która przeżyła szmat czasu w tradycjach życia chałupników włókienniczych.

Wrócmy więc do „Samodziału”, a ściślej mówiąc do specyfiki Grocholic. Mówiłem już, nie wieś — osada. W tradycjach minionego półwiecza silne odcienie od wsi o kolonizacyjnych. Nie chłopci, a to znaczy, że „za łada jakim chłopem córki by nie pozełniły”. W samej osadzie — robotnicy i chałupnicy. Cóż to znaczy? Sięgnięciem do Lenina („Spis chałupnictwa”), Acha... Odcienie od wsi, od rolnictwa już wyjaśnione — „związek z rolnictwem utrzymuje bardziej zacofane formy przemysłu — pisze Lenin — i na odwrót, rozwój kapitalizmu w przemyśle prowadzi do oderwania się od rolnictwa”. Gdyby Grocholic zachowały silniejszy związek z okolicą miałyby rolników-remieslników. A dlaczego nie zachowały tego związku?

„Określ największą (absolutnie i względnie) liczbę „chałupników” — jest — jak wskazuje Lenin — o kręgiem największego rozwoju kapitalizmu, wzrost produkcji towarowej spycha na plan dalszy rzemiosło, prowadzi do rozwoju kapitalizmu i do przejścia przemysłu w ręce nierolników, tj. do oddzielenia przemysłu od rolnictwa (albo być może do koncentracji przemysłu wśród ludności nierolniczej).”

Piotrków — Łódź to okręg najstarszego, wielkiego przemysłu włókienniczego, a Grocholic w tym okręgu to jedna z filii wielkich warsztatów przedziałniczych. Z takiej to tradycji trzeba wyprowadzić tę niegdyś wieś chłopską, a potem chłopско-remieslniczą. Milione półwiecze Grocholic to „nie innego, jak częściowe operacje wielkich operacji kapitalistycznych” w zakresie obróbki przedziałniczo-włókienniczej.

Zatem chałupniczych form produkcji w Grocholicach nie można przeciwstawiać kapitalistycznej produkcji. Przeciwnie, tworzą one, jak mówi Lenin „filie” i „częściowe operacje” wielkiej produkcji kapitalistycznej. Chałupnicy są producentami towarów i większą ich część znajduje się we właściwych dla kapitalizmu stosunkach kupna-sprzedaży siły roboczej. Te dwie cechy rozstrzygają o kapitalistycznym charakterze „chałupnictwa”. I nic tu nie znaczą takie pozory, jak daleko przebywający nakładca (w Łodzi czy Piotrkowie), „Narodni traktowali ich (nakładców) bezpodstawnie jako coś zewnętrznego w stosunku do produkcji, obcego przemysłowi, jako „tylko” przedsiębiorcy wymiany...” tymczasem w produkcji towarowej, „kapitał handlowy stanowi nieodzowną część składową, a nie przypadkową i uboczną wstawkę”.

Nic tu nie znaczą takie pozory, jak „praca całej rodziny”, bo „kooperacja rodzinna stanowi stronę podstawową kooperacji kapitalistycznej”. Ta rodzinność w chałupnictwie między innymi wskazuje na etap rozwoju przemysłu, poprzedzający jego wyższą formę wielkiego przemysłu maszynowego.

„Praca dla nakładcy jest więc wstępną formą kapitalizmu i we współczesnym społeczeństwie wstępną to prowadzi do szczególnego położenia pracujących, eksploatowanych przez cały szereg pośred-

ników, rozdrobnionych, zmuszonych zadowalać się niską płacą roboczą, pracować w warunkach skrajnie antyhumanicznych urządzeń i nierzadko długiego dnia roboczego — a głównie w warunkach, utrudniających możliwość społecznej kontroli produkcji”.

Chałupnicza przeszłość Grocholic wiele nam wyjaśnia. Najwięksi chałupnicy zatrudniali w swych warsztatach (poza rodziną) po kilka a może kilkanaście sił najemnych czyli, że byli „fabrykantami”, „właścicielami przedsiębiorstw kapitalistycznych”. W skali okolicznej znaczyło to nie mało. Ta pozycja niektórych podnosiła wszystkich chałupników w oczach chłopów z pobliskich wsi. „Miasto” widzieli w osadzie chałupników. Miastowymi byli też dla takiego Bełchatowa, gdzie siedzieli sklepikarze i handlarze bydła, zboża i nierogacizny. Grocholiccy chałupnicy uzupełniali arystokrację tyków z Bełchatowa. A to, że ten drobny producent



J. K. Maciejewski

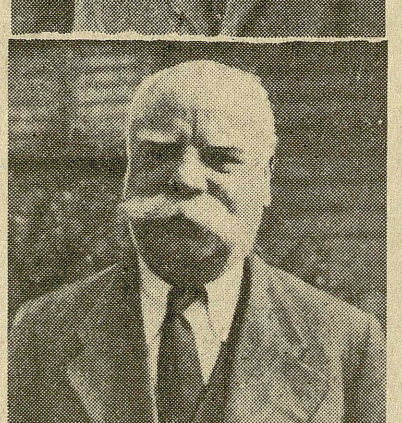
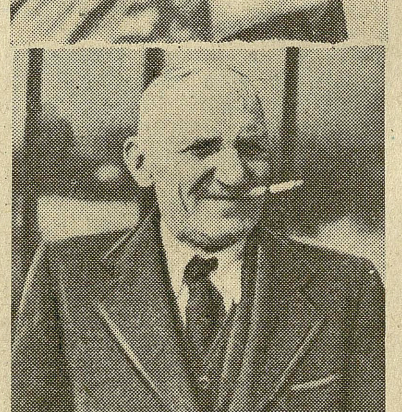
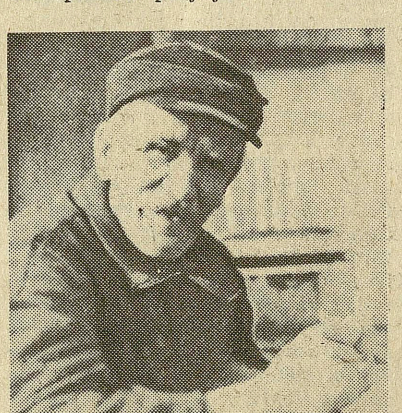
przy zmiennej koniunkturze spadał do rzędu robotnika, że więc rósł odświed tych, co sprzedawać mogli tylko nagą siłę roboczą, to w samym Grocholicach oddziaływało z kolei chałupnika od robotnika, i w stosunku do niego stawało również w roli „miastowego”.

Ta przeszłość zagrała w pierwszych latach po wojnie. Dawny odświed robotnicy znalazł pracę w fabrykach. Dawni zaś chałupnicy — co tu dużo gadać — zaczęli od szukania nakładców prywatnych. Prywatni nakładcy, pozbawieni teraz powiązania z przemysłem włókienniczym okręgu łódzkiego (bo unarodowiony!) bardzo skwapliwie rzucili się na samodział, kiedy przemysł jeszcze go nie opanował a towar to nieco luksusowy.

W tej konkurencji na modę, jakąś i powojenną żądze strojenia się dla chałupników z takich np. Grocholic zaistniały ponętne warunki. Cała ich przeszłość i charakter produkcji ciążyły do takich transakcji. Posmakowały więc Grocholic paskarskiej koniunktury, nie bardzo rozumiejąc, że wraz z kapitałem handlowym nakładcy tworzą przemysł kapitalistyczny i pomagają mu odrastać na niższych szczeblach.

Chałupnicza, zacofana i wstępcza kalkulacja zysków nie brała pod uwagę czasu pracy ani faktu, że do roboty zagnana jest cała rodzina, ani także wyzysku pomocniczych sił najemnych.

Toteż walka z nakładcą (często byłym właścicielem fabrykantem) w takich Grocholicach rozgorzała z tych nieuwzględnianych dotąd przez chałupników pozejci.



J. K. Maciejewski

Zbuntowała się młodzież. Pękła „rodzinna kooperacja”. Młodzież chciała się uczyć lub pracować 8 godzin. Nie chciała być w „domu” wyzyskiwana, chciała natomiast spółdzielni lepszych warunków pracy, nowych urządzeń i narzędzi produkcji, szkolenia branżowego a nie powolnego, rzemieślniczego wtajemniczenia przez majstrzyków.

Najmici również z tych samych względów woleli spółdzielnię pracy.

Spółdzielnia powstała. Co nie znaczy, że na rynek nakładów nie już nie idzie. W łódzkich sklepach prywatnych możemy jeszcze zobaczyć „samodział” kubek w kubek taki jak w państwowości.

Ale główny nurt produkcji w Grocholicach to wyrób spółdzielczy na społeczny rynek.

Teraz już mogę wytłumaczyć li nie repertuaru teatralnego. Młodzież postanowiła zachować i zburzyć w świadomości starego pokolenia to, co w tradycji chałupniczej nawar-

stawiło drobnomieszczańską pychę prowincjonalną, co ostatnią nitką przywiązuje do wstępczej formy kapitalistycznej produkcji w „domowym warsztacie”, co dusi w rodzinie patriarchalnością stosunków.

W r. 50 wydano w Grocholicach bój analfabetyzmowi. Wtedy to zagrano „Maciejowa idzie na wesele”. A pani Maciejowa to nikt inny jak drobnomieszczańska, która ma stałe miejsce w łańkach kościelnych, wspiera ostentacyjnie biednych grocholic, gardzi „chamstwem” czyli chłopami i przez wszystkie lata swego żywota zbija kapitalik. Ale kiedy przyszło do ślubu jej własnego dziecka, matrona nie umiała się podpisać.

Sztuka pomogła nie tylko kursowo czytać i pisać. Majstrzykom i całej warstwie „miastowych” również; spuścili z tonu.

W 51 r. przypuszczono do starych szturm główny.

Bo cóż ukazuje sztuka Andersena Nexa — „Ludzie z Danguardu”?

Chcieliśmy pokazać podłość i nędzę moralną wyzyskiwaczy — objaśniali mnie młodzi organizatorzy — a równocześnie przekonać najbardziej zacofanych obywateli, że młody kolektyw poradzi sobie z fermerem-kapitalistą.

Pamiętacie treść sztuki? Parobek Piotr występuje do bogaczki o prawa dla robotników. Przekupić się nie daje. Pijany syn pani Boha wraca bez pożytki, po którą go wysłała. Wtedy dziedziczka morduje syna, podpała dom i sama ginie. A Piotr z wyzyskiwanymi robotnikami zakładają spółdzielnię.

Analogie do losu chałupników i spółdzielni pracy narzucały się w sposób oczywisty w okresie kampanii za powstaniem „Samodziału”.

Tegoroczna sztuka „Przyjaciele” Uspieńskiego — zdaniem organizatorów — ma otworzyć przed „obywatelami tutejszymi” perspektywę życia obywateli w socjalistycznych warunkach. O tyle stanowi o nowe ogniwo w serii uderzeń w drobnomieszczańską patriarchalną obywatelskość. Ma otworzyć oczy na autonomię młodych, na ich prawo do samodzielnego określenia życia, na wartość i piękno życia młodych oraz miłość do dziewczyny, w której jeden z zakochanych przyjaciół ustępuje miejsca drugiemu, kiedy zrozumiał, że bardziej tu pasuje przyjaciół.

Po próbie „Przyjaciół” przenieśliśmy się do zarządu ZMP. Tu schodzą się członkowie prezydium GRN, członkowie zarządu „Samodziału”. Byli też aktorzy, słowem — młodzież, choć w różnym wieku. Dopiero co zakończył się na scenie bój ze starą rodziną, z „kooperatywą rodzinną” budującą w dawnych latach niewypowiedziany łańcuch młodych, tłumioną nienawist z wyzysku (o ironio, we własnym domu) i paniczną uległości wobec majstra — ojca i matki, decydującej o wyborze mariażu. Kiedy tak jeszcze przeżywałam próbę sztuki, jej przyszły rezonans w osadzie b. chałupników — już się zaczęły suplać nowe wątki. Koleżanka Karczyńska, kierownik sekretariatu „Samodziału”, zwierzyła się o to, że pragnie zostać nauczycielką, bo szkołę w Grocholicach trzeba podnieść do rangi 11-letniej. Kol. Sójka kiedy ukończył szkołę muzyczną, poprowadził miejscowy chór. Młynarski już ukończył szkołę dla kierowników świetlic we Wrocławiu, on to kieruje teatrem. Pomyślałem jeszcze o młodych w GRN i w zarządzie „Samodziału”. Coś tu z tradycji rodzinnej pozostało. Coś najłepszego, miłość do tej nie wsi, nie miasteczka. Ale i ta miłość do rodzinnej osady pulsuje już socjalistyczną treścią.

Wacław Palik

WANDA MELCER

W MYSZYŃSKIEJ PUSZCZY

O się stało z „Wolnym Najmity”, który tak dalece był wolny, że mógł nawet konać z nędzy i głodu? Co się stało z „Ludźmi wolnymi” o których tak wymownie pisała Nina Assorodobraj? Gdzie oni się wszyscy podzieli? Byli przecież o tutaj, na tym właśnie miejscu, chodzili z troską wśród żyta tak rzadkiego, że, jak pisze Henryk Syska, można było przejść między żdźbami, wcale ich nie uginając, snuli się wśród tyków, wypatrując, które by tu można niezauważnie wyciąć, żeby zapewnić rodzinie choć odrobinę opła. Albo jeszcze inaczej: wyjeżdżali, nie było ich tu. Wyjeżdżali z Czarncy, z Dylewa, z Charcibady, z Myszyńska. Jeździli „za chlebem”, gdzie się potoczyli, przepawali się na morza, szli „na saksy”, ginęli pod zwalami węgla w żle urzędowych, staroświeckich kopalniach Francji.

„Życie Kurpia” — pisał w roku 1881 Czajewski — „jest więcej niż skromne, jada on zwykle kapustę lub barszcz, potrzeba zamożnego domu, by w nim znaleźć kawałek

ostrzej napieło mu muskuly, sprawiło, że dojrzał i wyrosł. Obok niego go wokoło roześmiana, ruchliwa i szczeniowata młodość. Ogłędają go na wszystkie strony, kwalifikują. Nadeł by się nam, bracie, na komendanta SP, do szkolenia!

— Czy da sobie radę? Oczywiście! Był saperem, pracował w specjalnej służbie, zna się na różnych rodzajach broni. Czy żonaty? Nie. O, najlepiej bracie, żona nie siedzi na karku, taki właśnie nadeł się najbardziej, niech tylko wypelni ankietę. U nas nie ma ludzi zbędnych, każdy jest potrzebny!

Czekam na jednego z kolegów, który właśnie skądś wraca i zaraz ze mną dokądś pojedzie, weźmie tylko ciepłą kurtkę. Z błękitnej niekości koło mostu wylaniają się latarnie autobusu. Jazdy będzie dwie godziny drogi, może nawet trzy. Jak dojedziemy do tamtej stacji, przesiądziemy się znowu na kolejkę, potem może znowu do autobusu.

W kolejkę, wąskim pudle na wprost wbudowanego u końca pętki siedzi młoda Kurpianka o rześkich

by zaraz miało z niego trysnąć jasność lamp światła elektryczne.

— Mój brat — mówi jeden z aktywistów, którego głowa stapia się z cieniem tak że nie widać wyrazu twarzy, gdy głos zabiera — chce zostać górnikiem. Ale czy go przyjmą? Bo on z trzydziestego piątego roku?

Zebrani kiwają potakująco głowami. Jest między nimi młode małżeństwo Papierzyńskich, którzy wybierają się na Śląsk razem, ale młodzień nie wie, czy ma podać ich nazwiska, bo Papierzyński opuścił ostatnio trzy dni w robocie, naruszając dyscyplinę pracy.

— Ale on tam będzie pracował — broni go żona.

I znowu wracamy do spraw miejscowych. Ochotniczy zaciąg nie idzie łatwo. Czyżby nie było chętnych? Okazuje się, że wprost przeciwnie. Czy ta ziemia, która latami wydawała emigrantów do kopalni francuskich i sezonowych „na Saksy” gdzie głód i nędza była sprawą powszechną, zaczyna dzisiaj odczuwać brak rąk do pracy? Kurpie poszli na północ, na Warmię i Mazury, aby tam budować nowe życie, część mieszkańców włączyła przemysł — dla innych znów zatrudnienie znalazło się na miejscu. Kładą się bowiem sosny pachnące żywicą na porębach, przez które przejdą nasypy pod tory kolejowe. Na Narwi buduje się most, którym przejdą pociągi towarowe, wiozące na Śląsk kopalniaki z lasów koło Szczytna. W r. 1955, a może nawet i nieco wcześniej ostry kwas-kowaty zapach hugu, unoszący się w powietrzu, będzie znakiem, że w pobliżu znajdują się fabryki celulozy.

Pójdzie stąd papier do Warszawy i Krakowa, Poznań i Opola — Ziemia Kurpiowska będzie przekształcać swój charakter. Plan Sześciolatki ma wciągnąć w orbitę swej działalności 11% miejscowej ludności. Rok 1955 nie zakończy prac nad przemianą struktury tej ziemi, wzmocze ją wielkimi budowlami hydroenergetycznymi, zaś laki nadnarwiańskie, odwodnione i należycie uprawione, staną się wielką bazą paszową dla hodowli bydła. Mówimy więc o tym wszystkim jak gospodarze, których czeka trudna orka, ale którzy dobrze wiedzą, jakie będą plony.

Nie zapominamy też w tym rachunku że rezerwy są jeszcze i to duże. I że trzeba je upłynić dalej w głąb kraju, do przemysłu. Świeczki dogasają, topiąc się w stearynowych jeziorkach, dyskusję kończymy po clemku — na ulicy. Pada śnieg przemierzany z deszczem, chłupocze woda z okapów, a my brniemy przez ciemność ku przyszłości.

Wanda Melcer

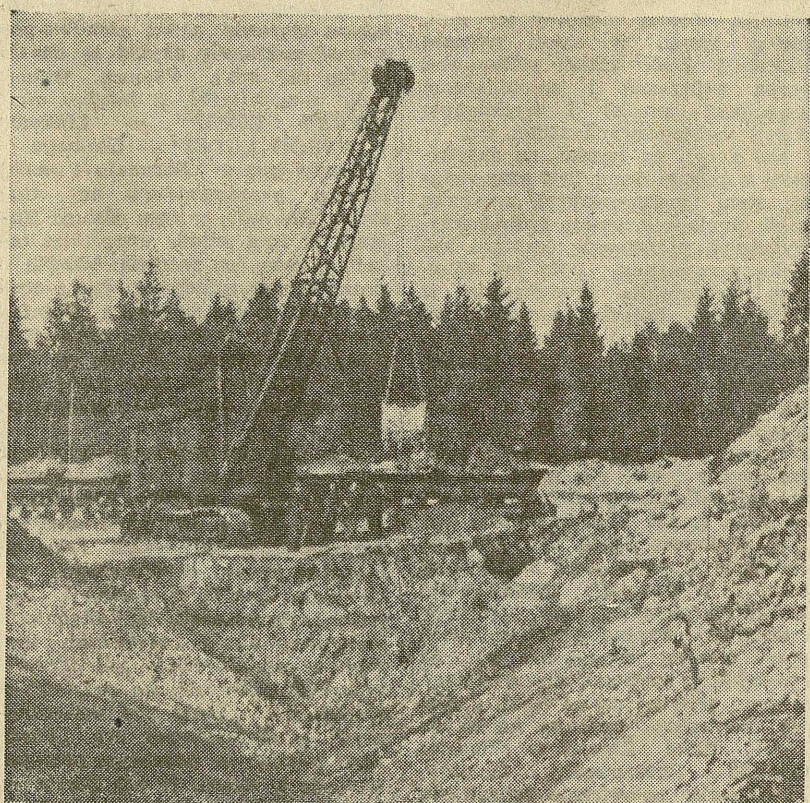


Foto — WAF

czarnego chleba”. Oszukiwano głód dzikim szczywami, palono napój z żółtej, do smażenia używano młodej, brzozywej miazgi. Jak głodujący Hindus nad Gangesem, wyzykiwani przez angielskich kolonizatorów, tak żył Kurp. W 1881 roku Warszawa organizuje... koncerty na „głodujących Kurpiów”, w roku 1912 endecki „Naród” wylewa izy krokodyli, donosząc, że „najgorzej przedstawiają się urodzaje w puszczy kurpiowskiej. Powódź zabrała pokosy, kartofle bieleją na wierzchu”. W 1915 roku zawiązuje się w Ostrołęce komitet obywatelski dla ratowania ludności, ale gazety narzekają, że „trudno będzie uratować Kurpia od głodu i nędzy...”

Nic się nie zmieniło w „wolnej” Polsce. W 1918 r. „Głos Łomżyński” opisuje, jak Niemcy w Kolnie wykupują kurpiowskie dzieci do roboty. Cena waha się od 30 do 60 rubli. „Nie macie tam jakiegoś „siurka”? — pytają bauerzy. Targ przybity, chłopak sprzedany. Rząd Chjeno-Piasta rabuje chłopom kurpiowskim przedso 3 tysiące morgów ziemi „opadawej”, pozostałej po komasacji, ale podatki ściga się jak zawsze, zabierając chłopom wszystko, co posiadali. W roku 1925 dochodzi do krwawych zająć w Turośli, w Bardzikowie. Sanacyjny poseł Ziemi Łomżyńskiej Adam Chętnik stwierdza w roku 1938, że w parafii myszyńskiej na ogólna liczbę 600 nowo urodzonych niemowląt umiera rocznie 350 z głodu i niedostatku. A jakież straszliwe zniszczenie spowodowała okupacja! Wyginęli ludzie, samych budynków zniszczono w jednym tylko powiecie ostrołęckim 1615, co stanowi ponad 60 proc. ogólnej liczby.

Oto już i rynek w Ostrołęce z nowym, ładnym budynkiem straży rzecznej, z mostem na „błękitnej”, szarej tere Narwi, z ogromną, rozmięcioną szeroko perspektywą po tamtej stronie ratusza, gdzie się miasto nagle ucinia, jakby ten jego drugi kawałek musiał jednak gdzieś istnieć po drugiej stronie rzeki.

Zakrećam ku miastu, wrzynam się w jego miazę, w jego ciepły ośrodek jak pod skórę chleba. Tu jest przecież Zarząd Powiatowy ZMP, który jest celem mojej wyprawy. Na piętrze chłopcy zawsze zapracowani, ciągle się tam coś dzieje. Telefon dzwoni śpiesznie i wielokrotnie w ciągłej gotowości, odzywają się miasteczka, czy osamotnione, wiejskie osiedla. Przychodzą młode dziewczęta, każda z jakąś sprawą, przychodzą zdemobilizowani żołnierze, może ich się tu będzie potrzebować, to przecież również zetempowcy.

Potrzebować? Jakże, natychmiast! Oto jeden stoi pośrodku, zwalisty i ciężki, jak góra, wojsko

oczach — skąd Kurpianki biorą takie oczy i rzęsy? Oczy mają, jak jeziora pod nawisami brzozi. Więc ta Kurpianka słucha innych znów opowiadań o wilkach, które tu się jakoby zaczęły pojawiać, przechodząc z puszczy piskiej w myszyńską. Słucha, słucha i wreszcie mówi:

— Najgorsza gmina, to podobno Pisk. A znowu w Pasiakach, kiedy mówiło się o pionierskim zaciągu, rzekł mi jeden: aha, pójdę do kopalni, żeby mi co na łeb spadło! — Żeby mu co spadło na łeb? — podejmuje wątek kolega, który mnie wiezie w głąb myszyńskiej puszczy. — Gdyby mu kto przetrząsnął francuskie gazety, toby się dowiedział gdzie i dlaczego ściany wał się na łeb robotnikowi. Kopalnie są przestarzałe, nie ma tam ustawodawstwa robotniczego, nie ma odpowiedniej ochrony pracy, nie ma nowoczesnych maszyn i narzędzi, którymi dysponuje dla nas Polska Ludowa. Wall Street wysłała swoje przestarzałe urządzenia fabryczne do krajów zależnych i cynicznie przyznaje się do tego w swoich ksiązkach: sprzedamy, powiadają, tej Francji nasze stare maszyny a sami odnowimy sobie przemyśl! Ale to nie u nas. U nas poseł nie potrzebuje po gazetach nawoływać do ochrony ludkiej pracy, bo ten poseł sam jest górnikiem czy murarzem i dobrze wie, ile praca warta.

Autobus zostawił nas na myszyńskim rynku, jego znikające światła kraja ciemność jak ostry nóż, złudzeni tym światłem nie tam, gdzie trzeba, woda chłupie w butach, blask topi się w kalużach. Trzeba zawracać. Tu mieszka przedszkolanka, którą zabierzemy ze sobą na zebranie. Obchodzimy wysoki drewniany budynek, pniemy się po zewnętrznych schodach, lewą ręką trzymamy się ościeżki do mchu i deszczu poręcz, noga szuka ostrożnie stopni, śliskich i mokrych od mchu i topniejącego szybkiego śniegu. W dole rozpościera się ciemny rynek, z olbrzymim kościołem pojezuickim, o którym kiedyś z jezuitów pisał na początku tego jeszcze stulecia: żeby użyć nędzy kurpiowskiego ludu, trzeba przede wszystkim mieć dwa razy poszerzyć kościół na rynku w Myszyńcu... Ot, co!

Wokół mnie młodzież. Jakubowski wymiuję jedną z drugą cienkie świeczki z kieszni i przy tych świeczkach patrzymy w oczy współczesnemu życiu. Zetempowcy mówią o tym, co jest, a także o tym co będzie — to wydaje się dla nich najważniejsze i słuchając ich zwierzę coraz to spoglądam na sufit jak gdy-

KRYSZYNA PAŁYS

PGR W KOCKU

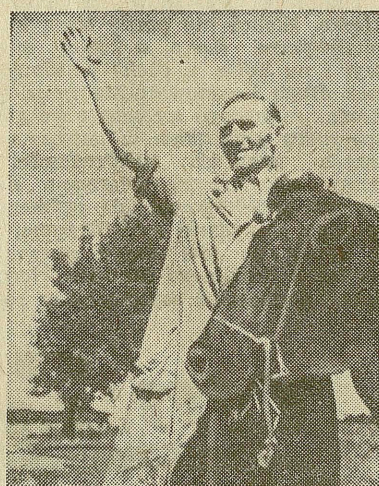


Foto — CAF

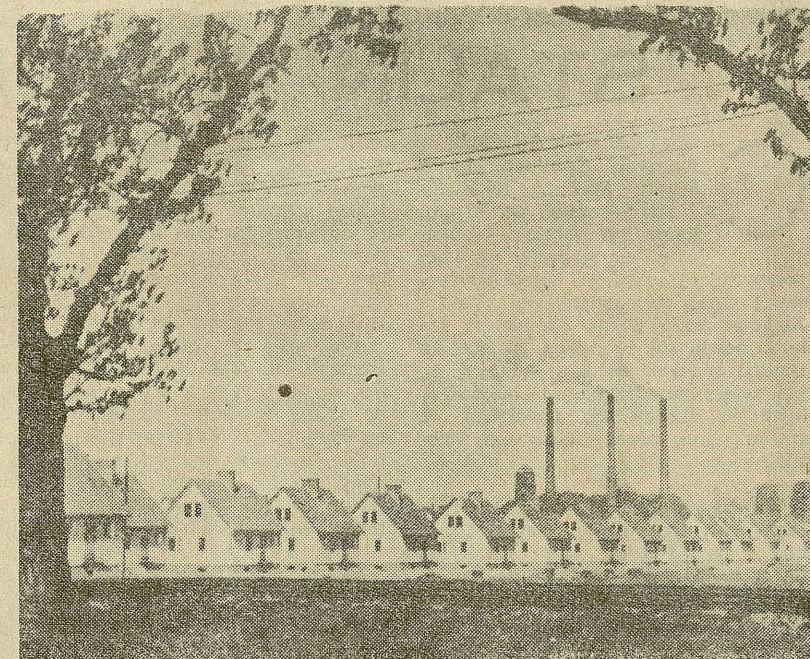
GRONOM zespołowy, Osuchowski, popatrzył w okno i zataił ręce. — W szczęśliwą godzinę podjęliśmy zobowiązanie. Patrzcie jak leje. Trzydniówka będzie — daje za to głowę. Po meldunku spadł mi kamień z serca.

Przyśiadł potem z boku przy biurku i zaczął stawiać słupki z liczb, sumować i dzielić. — 500 ton kwalifikowanych ziemniaków, będzie to jakich 65 proc. dostaw z okręgu. Pięć tysięcy dni roboczych w ciągu dwóch tygodni... Gdyby nie pomoc Komitetu Powiatowego, może nie dalibyśmy rady, chociaż nasi ludzie każdego wieczoru wychodzą do bliskich wsi wzbawców sezonowych. Tym razem jesteśmy też jedni z pierwszych — plony ładne, do 240 kwintali z hektara...

Chwalić się w Kocku jest naprawdę czym. Takich zbiorów, jak w PGR-ach nie oglądał tam do tychczas nikt, nie mieli ich nawet obszarnicy — hrabia Żółtowski, baron Meissner — szwagier Mościckiego, dziedzic Podoski. Oni sprzedawali... lasy.

— Licha ziemia, same piaski i torfowiska, na czym tu gospodarzyć? — mawiali się dawnymi czasy.

Ludzie zespołu PGR Kock zabrali się jednak do tej ziemi 5 i 6 klasy. Z roku na rok podnoszą zbiory nie tylko z ziemniaków i buraków pastewnych (w tym roku 1.000 kwintali z ha), ale również zbóż. W gospodarstwie Przytochno zbiera się teraz z hektara żyta o 6 kwint-



BOLESŁAW FIETKO

List do młodzieży

POCHODZĘ z powiatu tarnobrzezkiego (wieś Wrzawy). Jako syn matorolnego chłopca z powodu braku możliwości nauki i pracy musiałem wyjechać za granicę do Francji, gdzie ciężko pracowałem w kopalni węgla. Byłem wyszukany przez kapitalistów francuskich i ciężkie wiodłem życie.

Wciąż więc marzyłem o powrocie do Polski, ale do Polski rządzonej przez klasę robotniczą i chłopstw, aby móc oddać wszystkie swoje siły dla budownictwa ojczyzny sprawiedliwego dobrobytu wszystkich. Doczekałem się tej chwili. Dzięki bohaterstwu Armii Czerwonej kraj nasz został wyzwolony spod jarzma hitlerowskiego.

Władze uchwyciły robotnik w sojuszu z chłopem małym i średnioludnym.

Przemysł został unarodowiony i przeprowadzono reformę rolną. Z jaką ja radością powróciłem do kraju! Osiedliłem się na Ziemiach Zachodnich w Walbrzychu, gdzie objąłem pracę na znanej całej narodowi polskiemu kopalni „Thorez” w charakterze robotnika. Natychmiast zorganizowałem brygadę składającą się z 20 osób, w tym 12 młodzieńców, którzy pochodzą ze wsi. Nie byli oni doświadczonymi górnikami, lecz stopniowo dorównywali starszym górnikom w walce o wykonanie planów produkcji. Wśród tych młodzieńców wyróżniają się ob. Mróz Antoni, Gładysław Józef, Świątkowski Marian, Franas Lucjan i wielu innych. Nasza brygada w trudnych warunkach wykonuje średnio po 170% normy, zarabiając od 2.000 do 2.800 złotych. Szczególną uwagę kładłem i kładę na wychowanie dobrych górników

z naszych młodzieńców, na wzorowych przodowników pracy.

Nasza młodzież pracująca w kopalni korzysta z bogatych przywilejów Karty Górnik, jak premia kwartalna, premia kwartalna za współzawodnictwo, mundur górnika, urlopy płatne, wczasy, opieka lekarska, kina, teatry itp. Ponadto młodzież górnika ma olbrzymie możliwości do nauki i do awansu.

Ostatnio np. zostali wysunięci na sztygarów naszej kopalni młodzieńcy: Szulc, Izziak, Świątek, kierują oni oddziałami na naszej kopalni.

Młodzież z naszej kopalni ma piękne, dobrze wyposażone Domy Młodego Górnik, posiada własne świetlice, radiofonizację i dobre wyżywienie itd. Mamy wielu kolegów, którzy przybyli na kopalnię ze wsi, rozwinięli się i wiele nauczyli, posmakowali w pracy górnik i jego przywilejach, dostali mieszkanie, dobrze się odżywiali i żyją swobodnie i dumnie, jak ob. Sikora i Gładysław.

Apel Zarządu Głównego ZMP powinien być drogowskazem dla całej młodzieży polskiej, a szczególnie na wsi. Młodzież winna zdawać sobie sprawę, że podstawowym produktem w naszym kraju, w jego wspaniałym rozwoju jest węgiel.

Jako poseł do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wysunięty przez bohaterką zalogę kopalni „Thorez” zwracam się do Was droga młodzieży, abyś gremialnie zgłaszała się do zaciągu pionierskiego. Abyś zgłaszała się do pracy również w naszej kopalni.

Bolesław Fietko
Kopalnia im. Thoreza
Walbrzych

TRAGEDIA
GRIGORIJA MELECHOWA

(dokończenie ze str. 3)

przedstawiciel proletariatu, „ciasnym” przedstawiciel burżuazji. Reprezentują oni, powiada, mniejszość. Można ich przeklinać, wygłaszać szumne frazesy o większości, o czystej demokracji. Słów można nizać, ile się podobą. Będą to słowa maskujące fakty, że jeżeli chłop nie idzie za robotnikami, to idzie za burżuazją. Pośredniego wyjścia nie ma i być nie może! Oto nie tylko wyjaśnienie drogi Melechowa; to także ustalenie granic jego wahań. Nie między „ustrojem stanowym a demokracją”, a „za” lub „przeciw” władzy radzieckiej — oto bieguny skrajne jego zmagania wewnętrznych. A więc proletariatu lub burżuazji, choćby to w wyobraźni Grigorija przybierało najbardziej fantastyczne formy i odcienie.

Doszlśmy do sedna zagadnienia. Nekreśliwszy obiektywną drogę życiową Grigorija, staraliśmy się odpowiedzieć na pytanie, jakie były przyczyny wyboru Melechowa? Pierwszą i najważniejszą (najważniejszą dlatego, że decydowała ona nie tylko o drodze Grigorija, ale całego koczowca) było to, że w koczowniczym obiektywnym silne warunki obiektywne dla rozwoju złudzeń średniackich, płatania i fantazjowania. Nurtowała bowiem sprawa odrębności koczowniczej, autonomii w stosunku do Rosji, sprawa różnic między ludnością koczacką i niekoczacką, cała olbrzymia tradycja wolności i odrębności koczackich, a obok tego tradycja „spacjalnej” służby w carskiej stupajszczyźnie. Wszystkie te czynniki w dużej mierze wywodziły fantazję „Rad bez bolszewików”, atamaszczyzny i doprowadziły do białogwardyjskich wystąpień.

Druga przyczyna związana jest z samym postępowaniem Grigorija. Im silniej różnie związek jego obiektywnych czynów z kontrewolucją, z białymi, tym wyraźniej dojrzała jego świadomość, że wybrał drogę fałszywą, niesłuszną. Wtedy, kiedy w pełni zdaje sobie sprawę, że banda Fomina jest zwykłym, już nawet nie politycznym bandytyzmem, decyduje się właśnie przystąpić do niej. Dzieje się tak dlatego, że krwawe, kontrrewolucyjne czyny Grigorija zapędziły go w ślepią uliczkę, z której już nie ma wyjścia. Mordu na czerwonych marynarach już nie można z życia wymazać! Konieczność ponoszenia konsekwencji czynów nieodwracalnych sumuje sam Grigorij: „Dla mnie wybór, jak w bajce o witeziach: na lewo pojedziesz — konia stracisz, na prawo pojedziesz — zabiją cię... Nie mam gdzie się podziać”.

Istota tragedii Melechowa i dużej części średniego chłopstwa polegała na niezrozumieniu faktu, że interes osobisty średniaka związany jest ze zwycięstwem rewolucji proletariackiej. Tysiące razy jak refren ta ciemnota, tak kapitalnie scharakteryzowana przez Lenina, pojawia się w rozmyśleniach Grigorija, w jego wewnętrznej szarpaninie. Czy jednak ta sytuacja nieświadomionej, niedojrzałej politycznej klasy pośredniej, jaką jest średnie chłopstwo, może załamać się w obiektywną, historyczną tragedię? Czy może tu powstać historyczny konflikt tragiczny klasy niedojrzałej do rewolucji lub upadającej w tej rewolucji? Jasne, że nie może. Ale nie może powstać tylko dlatego, że istnieje klasa kierująca rewolucją, kierująca średnim chłopstwem — proletariatu. W niedojrzałości średniego chłopstwa tkwi jednak potencjalny tragizm i on decyduje o tragiczności losów Grigorija aż do ostatniego rozdziału powieści. Nigdy jednak nie przybierze on obiektywnej postaci konfliktu tragicznego. Może się to zdarzyć tylko w wypadku jednostek. Tak właśnie ma się rzecz z Grigoriem Melechowem w ostatnich rozdziałach epopei Szolochowa. Rozwiązanie konfliktu w masie średniackiej postępuje wraz ze wzrostem świadomości pod wpływem proletariatu i jego walki z kontrrewolucją. A konflikt powstaje wtedy, kiedy oderwane od narodu, wahańce się do końca jednostce pozbawione czyny uniemożliwiają wkroczenie na drogę rewolucji, gdy na dodatek jednostka ta odgrywała rolę przywódczą w kontrrewolucji.

Przejdźmy do uogólnienia. W słynnej korespondencji z Lassalem Marks ustalił interpretację tragizmu w jego społecznym i klasowym, materialistycznym sensie. Artykuł Lenina i praktyka pisarza Szolochowa uzupełniają tezy Marks'a. Udowodniają one, że wahanie klas społecznych, przede wszystkim średniego chłopstwa, które towarzyszą proletariatu w rewolucji, są wahaniami potencjalnie tragicznymi, tragicznymi w swej niedojrzałości i ciemności. Oraz ich skutkach. Zostają one jednak rozstrzygnięte przez proletariatu, który realizuje ideę sojuszu ze średnim chłopstwem.

Kryszyzna Pałys

Marek Pieczyński

